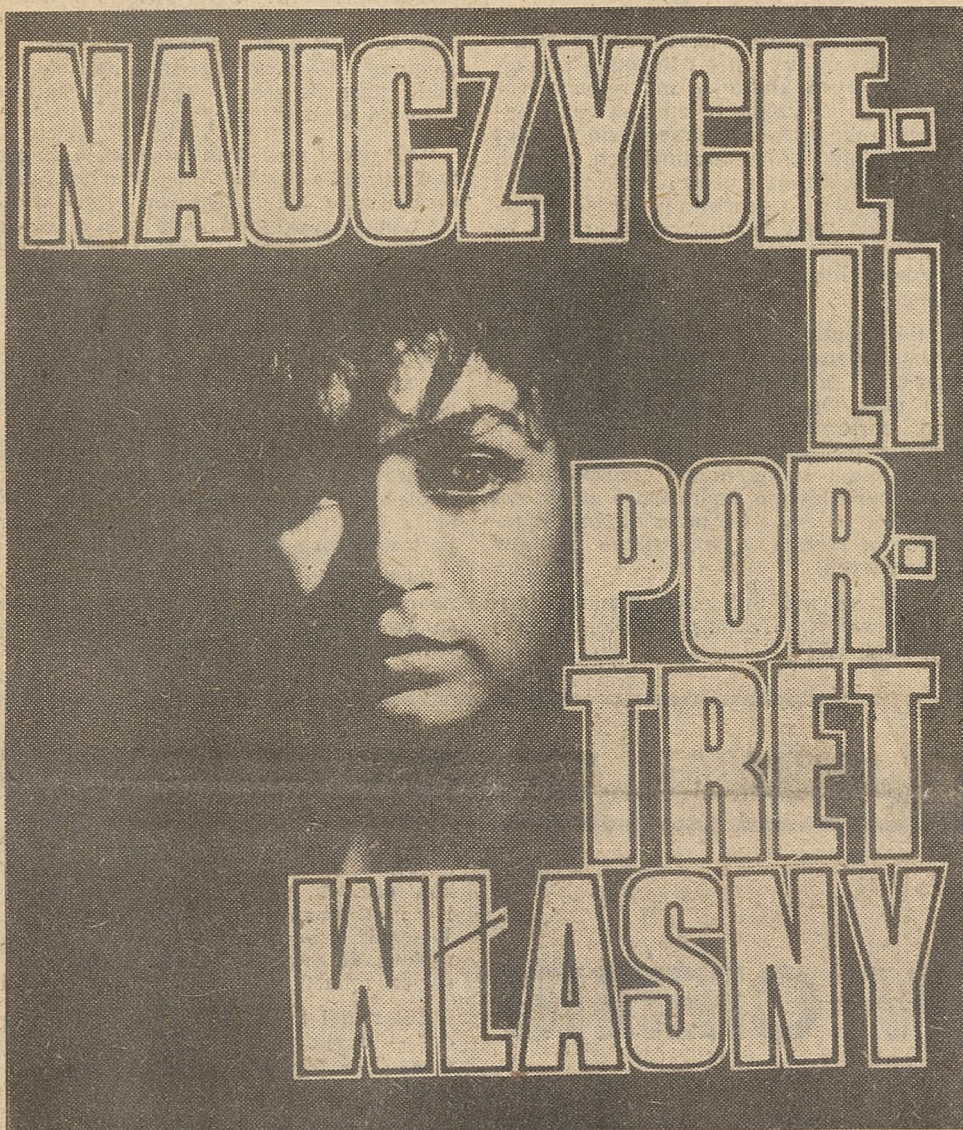


W NUMERZE:

- Każda sprawa musi być nam bliska:
czyli POP w szkole
- Biblioteka Narodowa
reportaż z budowy
- Szkoła
w społecznym
władaniu



KOMITET „POLSKA 2000” O EDUKACJI

HENRYKA WITALEWSKA

Co należy uczynić, by owych 360 tysięcy nauczycieli, jakich obecnie mamy, było dogłębnie przenikniętych myślą, że służą dziecku, że są narzędziem rozwoju człowieka? Co należy uczynić, by współczesny nauczyciel osiągnął dużą samoświadomość tego, co i jak robi? Dlaczego nie zawsze towarzyszy mu przekonanie, że jest szczególnym ogniwem ciągłości kultury narodowej, że on sam — jego postawa, konkretne czyny — jest nosicielem wartości?

Czy spoglądanie na stan nauczycielski jako na misję, powołanie, czy ów szczególny stygmat społecznikowstwa, który tak chętnie przypisujemy temu stanowi, ma jeszcze w dzisiejszych czasach jakikolwiek sens? Czy nie tkwimy nadmiernie w tradycji żeromszczyzny i nie nazbyt często powołujemy się na — to prawda, że znakomitą, ale w końcu nieco apostołską —

rozprawę Jana Władysława Dawida „O duszy nauczycielstwa”?

Jaką rolę odgrywa dziś rzeczywiście nauczyciel w swoim środowisku? Co przede wszystkim należy uczynić, by zdobył on — czy może odzyskał? — autentyczny a nie pozorny czy też wymuszony, autorytet?

O takich to arcyważnych dla naszego zawodu i dla polskiej edukacji problemach rozprawiano w końcu listopada ubiegłego roku w Jabłonie na konferencji poświęconej tematowi „nauczyciel i młodzież (tradycje — sytuacja — perspektywy)”, a zorganizowanej przez Komisję Kultury, Kształcenia i Wychowania Komitetu Badań i Prognoz „Polska 2000” przy Polskiej Akademii Nauk. Obrady prowadził przewodniczący owej komisji, a zarazem główny inicjator i inspirator konferencji prof. Bogdan Suchodolski.

„Wychowuje się nie tylko przez to, co się wie i umie, lecz nade wszystko przez to, kim się jest. To jest ten kapitał, który szczególnie procentuje w zawodzie nauczycielskim. Najsilniej na młodzież działa nie to, co nauczyciel (podobnie jak ojciec czy matka) mówi, lecz to, jaki jest, jaki usiłuje być, jak postępuje, jaki reprezentuje autentyczny świat wartości” — ten fragment referatu prof. Ryszarda Wroczyńskiego może stanowić motto owej konferencji. Zaś jej treść i istotę najlepiej chyba i najpełniej oddaje tytuł innego referatu: „Nauczyciel klucz do wyjścia z oświatowego kryzysu”. Bo w każdych warunkach, a chyba szczególnie w tak trudnych, jakie obecnie przeżywamy, gdy nie można liczyć na poprawę bazy materialnej oświaty, przede wszystkim od nauczyciela zależą poziom i rezultaty naszej edukacji.

Konferencja ta nie miała nic ze stereotypu. Był to swoisty wielogłos środowiska nauczycielskiego — zarówno akademickiego, jak i szkolnego, zarówno praktyków, jak i teoretyków — na swój temat. A więc nauczycieli portret własny nakreślony przez nich samych.

Sięgał on daleko w głąb, do korzeni. Oto refleksja i konstatacja z referatu prof. Stefana Wołoszyna: „Tradycja szkolna przekazuje nam dwojakie kontrastowe obrazy szkoły i nauczyciela: bądź to szkoły jako „winnicy enót”, „nauczek przemożnych perły”, „twórczyni i rodzicielki” wszystkiego co najlepsze, źródła miłości ojczyzny i godności obywatelskiej, bądź też szkoły jako miejsca udręceń dzieci i młodzieży, jako „królestwa bizuna”, jako rodzicielki hipokryzji i obłudy, jako miejsca „papuziego terkotania” wszelkiego rodzaju scholastycznych formuł oraz przyswajania sobie niepotrzebnej i nieprzydatnej później w życiu martwej, „szkolarskiej wiedzy”. O jednym i o drugim z tych obrazów decydowali nauczyciele, ich kultura czy jej brak, ich oddanie sprawom młodzieży i jej rozwoju czy też postawa niechętna, a nawet nienawistna w stosunku do dzieci, ich spolegliwa osobowość i moralna uczciwość czy hipokryzja, nieuctwo, nieróbstwo, a może brak wszelkich skrupułów”.

Jak na tym ogólnym tle wygląda obraz dzisiejszego nauczyciela — we własnej ocenie uczestników spotkania w Jabłonie? Dodajmy jednak koniecznie, że znaleźli się tu przedstawiciele zawodu nauczycielskiego o raczej dużym stopniu samoświadomości i samokrytycyzmu (przeważali pracownicy nauki), czego, niestety, nie da się powiedzieć o większości naszego środowiska.

I drugie zastrzeżenie. Choć zdają sobie doskonale sprawę, że być może, narażę się niemniej części czytelników, wybieram przede wszystkim opinie krytyczne, gdyż właśnie one — jak mi się zdaje — mogą pobudzić do twórczej refleksji, do zadumy nad sobą samym i swoją pracą. Gdyż właśnie one mogą pomóc w samooczyszczeniu się — takiego określenia używano — środowiska nauczycielskiego, co jest i potrzebą, i koniecznością. Zarówno naszej edukacji, jak i głęboką potrzebą społeczną. Bez takiego samooczyszczenia, bez procesu gruntownej odnowy również nas samych — polska edukacja nie może się należycie rozwijać, nie może przede wszystkim realizować podstawowego celu naszej pedago-

giki, jakim jest kształtowanie bogatych, w pełni rozwiniętych osobowości młodych obywateli naszego kraju.

Co zatem sądzą, a ściślej: co sądzili w ubiegłym roku w listopadzie lub nieco wcześniej (gdyż referaty i odpowiedzi na ankiety przygotowywano już w sierpniu lub wrześniu) przedstawiciele różnych środowisk nauczycielskich — o sobie? Swej pracy, prestiżu, kontaktach z uczniami, stosunku do kultury, różnych zjawiskach życia społecznego?

Z odpowiedzi ankietowanych (o jakie poprosili uprzednio organizatorzy konferencji):

„Nauczyciele powinni uświadomić sobie fakt, że minął czas ich wyłączności jako jedynej i najważniejszego czynnika życia umysłowego w środowisku”.

„Sądzę, że nauczyciel nawet w środowisku wiejskim, gdzie poziom wykształcenia rolników jest niższy od przeciętnej krajowej, nie jest już ważnym krzewicielem postępowych poglądów w różnych sferach życia. Nie stanowi też w tym środowisku głównego stimulatora rozwoju życia kulturalnego. Wydaje się, że różne środowiska społeczne, a nawet rodzicielskie, dość wyraźnie obojętnieją na uwagi i sugestie nauczycieli”.

„Zauważam wyraźną różnicę pomiędzy oczekiwaniami nauczycieli pragnących bezwzględnie autorytetu społecznego a rzeczywistym wkładem pracy ów autorytet determinującym. Stąd każda uwaga krytyczna, płynąca spoza środowiska jest przyjmowana bardzo niechętnie, wywołując nierzadko różne formy apatii czy nawet agresji obronnych”.

„Stosunek wychowawczy w szkole jest oparty na błędnych założeniach uniemożliwiających prawdziwą szczerą ocenę ucznia względem nauczyciela. Nauczyciel jest osobą oceniającą i tak jest traktowany przez ucznia. Ocena polega przede wszystkim na wyszukiwaniu tego, czego wychowanek nie wie, lub nie umie, co robi źle, jakie braki wykazuje w zachowaniu, aby odzwierciedlić ten stan w odpowiednich ocenach, a nie w tym celu, aby uczniowi pomóc. Dlatego nauczyciel i uczeń wciąż stoją po obu stronach barykady, a nie po jednej”.

„Tylko nieliczni nauczyciele posiadają ukształtowane postawy i dyspozycje do współdziałania z uczniami w istotnych dla młodzieży sprawach. Najczęściej mamy do czynienia z postawami autokratycznymi, nie tylko w szkolnictwie ponadpodstawowym. Samorządy (szkolne, klasowe) traktowane są formalnie i najczęściej ich działania ogranicza się do spraw utrzymywania dyscypliny i porządku”.

A oto fragmenty z referatów: (których na konferencji w Jabłonie przygotowano kilkanaście):

„Zasadniczą przyczyną nierealizowania w praktyce koncepcji uczestnictwa młodzieży w procesie wychowania jest brak demokracji w wychowaniu. Tendencje do narzucania, urabiania są tak mocno zakorzenione w arbitralnym systemie wychowania, że nawet ci nauczyciele-wychowawcy, którzy nawołują do demokratyzacji ży-

Jesienią ubiegłego roku gościliśmy po raz pierwszy we wsi, gdzie bez niczyjej zachęty ani namowy dosłownie cała społeczność moralnie wspomagała i na co dzień interesuje się życiem reaktywowanej niewielkiej swojej szkoły. Uspołecznienie oświaty w ten sposób stało się tam zwyczajnym faktem.

Również teraz, w lutym 1982 r., jak mogliśmy się świeżo przekonać, warunki stanu wojennego w niczym nie umniejszały zainteresowania wsi szkołą ani też satysfakcji mieszkańców, którym uczniowie zawdzięczają naukę na miejscu, w dobrych warunkach.

SZKOŁA

JANUSZ TRZCIANKA

W SPOŁECZNYM WŁADANIU

SONDA

HALINA BUKOWSKA

Przedszkole nr 2 w Pisz-
woj, suwalskie

PO NOWYCH CENACH

Pierwsze dni po wprowadzeniu podwyższonych cen żywności odczu-
łam jako trudne. Bez utyski-
wań, ale szczerze powiem: jest mi
ciężko, zarówno w gospodarstwie
przedszkolnym, jak i domowym, gdzie trze-
ba zażądać o własną rodzinę. Moim domow-
nicy mają jednak rekompensaty, a przed-
szkole?

Nasza placówka oświatowo-wychowaw-
cza jest niewielka, opiekuje się zaledwie
59 przedszkolakami w dwóch oddziałach,
podczas gdy koleżanki z kilku innych
przedszkoli piskich mają w każdym po-
wyższej 120 dzieci. Myślę, że im jest jednak
łatwiej wyżywić wychowanków przy staw-
ce — jednakowej dla wszystkich — 46 zło-
tych dziennie. Dla mojej intencjonalnie za-
liczka kilkusetosobna, pobierana ze Zbior-
czej Szkoły Gminnej, zwierzchniej dla
przedszkoli, okazuje się już niewystarczają-
ca. Szczególnie wędliny stały się bardzo
drogie, a brak większego wyboru nie poz-
wala na sensowne oszczędności. Przygodo-
wywanie co dzień trzech posiłków dla sto-
sunkowo niewielkiej grupy dzieci wyma-
ga teraz nie lada gymnastyki. W opinii re-
jonowego metodyka — Magdaleny Koldys
Przedszkole nr 2 przoduje pod wielu
względami. Obawiałabym się, czy wyżywie-
nie nie cofnie nas teraz...

Oczywiście, nie opuściliśmy rąk. Po na-
radzie, jaką z dyrektorami przedszkoli w
naszym mieście odbył zastępca dyrektora
Zbiorczej Szkoły Gminnej, Jan Kalinowski,
wiemy, czym będziemy rozporządzały w
budżecie, przynajmniej do końca bieżą-
cego kwartału. W tej sytuacji zwróciłam
się, w pilnym trybie, do dyrektora miej-
scowego Oddziału WSS — Henryka Sta-
chela z zamówieniem na przydział podro-
bów. Wątróbka, a nawet płucka, stano-
wią menu wartościowe odżywczo — a przy
tym, rzecz jasna, tańsze od schabu, na któ-
ry rzadko będziemy mogli teraz sobie poz-
wolić. Obiecano nam te podroby. To jed-
nak w całości sprawy nie załatwi. Rodzice,
których i dotychczas prosiłam o pomoc
i współdziałanie, np. przy urządzaniu
choinki, zastanowią się chyba wspólnie,
jak dofinansować wyżywienie dzieci.

Przywykłam — mimo obowiązującej te-
raz ściśle zasady jednoosobowej odpowie-
dzialności dyrektora — dyskutować z per-
sonelem, a zwłaszcza z radą pedagogiczną,
celowość poszczególnych zakupów. Po-
przednio dotyczyło to między innymi za-
bawek czy materiałów dekoracyjnych, o-
becnie kolegiatność tę rozszerzam na pla-
nowanie wydatków żywiościowych. Nie-
jedną bowiem nauczycielka, a zarazem
matka i gospodyni domu, może wskazać
przedszkolu, co się opłaca kupić, na przy-
kład na śniadanie, aby przy tym nie ob-
niżyć poziomu i jakości wyżywienia. Bo
nie wolno dopuścić do fałszywych oszczęd-
ności na zdrowiu dzieci.

Dokuczają nam brak pieczywa drobnego w
miejscowych sklepach. Piekarnie piskie
nastawiały się na chleb, dla nas potrzebne
byłyby bułki czy drożdżówki. Pracują u
nas zaledwie dwie kucharki, nie możemy
więc zbyt często sami wykpić rogalików
czy ciast, które można by dzieciom podać
na przykład na podwieczorek.

I tak personel stara się, aby przygotowy-
wać różne potrawy z warzyw, rybne oraz
półmiesne, a wszystko to, jak wiadomo,
choć od mięsa bardziej mieszczące się w
budżecie, jest bardzo pracochłonne. Liczy-
libyśmy mimo wszystko na dietę warzyw-
no-owocową, gdyby i te produkty tak nie
drożały. Marzą ogrodnicy nie musi być
chyba tak wysoka jak obecnie? Powsta-
jące teraz społeczne komitety kontroli cen
oraz Miejsko-Gminny Komitet Ocalenia
Narodowego, który niedawno zawiązał się
w Pisz, również z udziałem miejscowych
nauczycieli, powinny, moim zdaniem, zająć
się także i tą sprawą. (JT)

2 GŁOS NAUCZYCIELSKI

Tak by to trzeba stwierdzić dziś —
w drugiej dekadzie lutego — a
więc okresie, w którym zima za-
zwyczaj sroży się najbardziej. W
domach ciepło — u mnie w każ-
dym razie cieplej niż w roku ubiegłym i
u sąsiadów również. Awarii też jakos
mniej, a w telewizji zginęły owe drama-
tyczne apele o węgiel dla elektrowni. W
kolejkach pod sklepami ludzie nie zamar-
zają, a dzieci — te nasze kochane malu-
chy — jakos nie giną z głodu.

Dzieląc się z Wami powyższą refleksją,
nie chcę być równocześnie posądzony o ta-
ni optymizm. Sytuacja gospodarcza kraju
jest bowiem nadal bardzo ciężka. Nie ma
wiele nadziei na jej szybkie odrodzenie,
choć rząd w tej chwili czyni wszystko, co
możliwe, ażeby przywrócić zdrową zasadę,
iż popyt powinien kształtować wysokość
produkcji. Kiedy tak się stanie? Jak na
razie dane statystyczne opublikowane
przez GUS nie są optymistyczne. Wystar-
czy stwierdzić, że w ubiegłym roku spadek
dochodu narodowego wyniósł 13 procent!
Przekładając ten wskaźnik na język bar-
dziej zrozumiały, można powiedzieć, że w
ciągu jednego roku cofnęliśmy się o 7 lat.
Przyczyny tego stanu rzeczy tkwią przede
wszystkim w dysproporcjach ekonomicz-
nych lat siedemdziesiątych, gwałtownym
skróceniu czasu pracy, wzroście napięć
społecznych wyrażających się między in-
nymi w rujnujących gospodarke strajkach,
zmniejszonej wydajności pracy. Warto przy
okazji wiedzieć, iż czas pracy jednego za-
trudnionego w roku 1981 był o 155 godzin
krótszy niż w roku 1980.

Jedną z ważnych przyczyn dzisiejszego
krachu na rynku było też systematyczne
uzależnianie naszej, rodzimej produkcji od
importu różnych maszyn i urządzeń, bądź
ich części z Zachodu. Przykłady można by
mnożyć w nieskończoność. Rezultat takich
pocynań jest taki, że wiele zakładów prze-
mysłowych nie może dziś w pełni urucho-
mić produkcji, bo brak nieraz prostych
części bądź elementów, które moglibyśmy
produkować w kraju, lecz niestety zapa-
dały decyzje o ich imporcie. Działo się to
równocześnie przy obowiązującym w deka-
dzie sukcesów hasło „Polak potrafi”. Po-
nadto zjawisku gwałtownego spadku pro-
dukcji przemysłowej towarzyszył wyjątko-
wo szybki wzrost płac. Oblicza się, iż w
roku 1981 przychody pieniężne ludności
wzrosły o 437 mld złotych, natomiast po-
daż towarów zmalała o 11 procent. Ten
fakt — mimo wzrostów kosztów utrzyma-
nia o 25 procent — spowodował całkowi-
ty krach na rynku. Miało się pieniądze —
nie było jednak towarów.

Mordy działaczy opozycyjnych
w Salwadorze, Gwatemali, czy
w Chile zmuszają do zadania
pytań: Jak to możliwe w są-
siedztwie państwa mieniącego
się główną ostoją demokracji na świecie,
to znaczy Stanów Zjednoczonych? Czy Sta-
ny Zjednoczone w myśl szczytnych idea-
łów, które głoszą wszem i wobec, nie są
w stanie przeciwstawić tym okrucień-
stwom? A może po prostu Waszyngton nie
jest zainteresowany realizacją zasad demo-
kracji, które głosi, bo sam prowadzi tam
politykę sprzeczną z zasadami Deklaracji
Niepodległości?

Odpowiedzi na te pytania niech będzie
przypomnienie założeń doktrynalnych po-
lityki Stanów Zjednoczonych wobec
państw Ameryki Łacińskiej. Zaczniemy
więc od Orędzia do Kongresu przedłożo-
nego przez prezydenta USA Jamesa Mo-
nroe 24 grudnia 1823 r. Czytamy w nim
m.in. że Stany Zjednoczone będą uważać:
„wszelkie mieszanie się jakiegokolwiek eu-
ropejskiego mocarstwa, mające na celu
uciskanie lub kontrolowanie niepodległych
państw Ameryki Łacińskiej, za przejaw
nieprzyjaznych uczuć względem USA”.

„Doktryna Monroego” określiła na wie-
le lat zasady polityki amerykańskiej na za-
chodniej hemisferze. Pierwotnie jej celem
było ograniczenie, a później wyeliminowa-
nie wszelkich obcych wpływów (wówczas
zachodnioeuropejskich) i stopniowe pod-
porządkowanie kontynentu latynoamery-
kańskiego interesom Stanów Zjednoczo-
nych. W pierwszym etapie jej realizacji
można dostrzec nawet antykolonialny cha-
rakter doktryny, ale już w 15 lat po jej
zaprezentowaniu konkretyzuje się impe-
rialistyczny charakter polityki Waszyngto-
nu.

W 1848 r. prezydent James K. Polk
stwierdza bez osłonek: „Kolonizacja, in-
terwencja i ustanowienie jakiegokolwiek
władzy zabronione są dla Europy; ale my
mamy carte blanche dla podbojów, kolo-
nizowania i interwencji, gdy zajdzie po-
trzeba. Niewątpliwie odebraliśmy prawa
Europejczykom, ale odebraliśmy je po to,
aby posiadać je samemu i korzystać z nich,
gdy się to nam spodoba, nie licząc się z
innymi państwami Nowego Świata”.

Od czasu „doktryny Monroego” Stany
Zjednoczone przeprowadziły ponad pół setki
interwencji. Przeciwdziałały np. sporom
brytyjsko-wenezuelskiemu w 1859 r., a
sekretarz stanu USA Olney sprecyzował
rolę Stanów Zjednoczonych w Ameryce
Łacińskiej: „na tym kontynencie Stany
Zjednoczone są suwerenne i ich zdanie jest
ostateczne”.

Pod koniec XIX wieku Stany Zjedno-
czone wkroczyły w okres imperialistyczne-
go rozwoju, a wraz z tym wzrosło uzależ-

KRAJ

ZIMA MIJA W DOMACH CIEPŁO

Żeby wyjść z tego zaczarowanego kręgu,
podjęto szereg decyzji o doniosłym znacze-
niu, z których kluczowe ma reforma go-
spodarcza, połączona ze zmianą cen i sy-
stemem rekompensat. Opracowano również
szereg działań krótkoterminowych, których
sprawną realizacją może znacznie złagodzić
skutki kryzysu. Opracowany został kalen-
darz zadań Rady Ministrów, w którym o-
kreślono najważniejsze, kierunkowe przed-
sięwzięcia dla rządu i administracji pań-
stwowej.

I tak Komisja Planowania przy Radzie
Ministrów została zobowiązana do zwery-
fikowania „programu przewyżdzającego kry-
zysu oraz stabilizacji gospodarki”. Pole-
cono opracowanie założeń przebudowy
struktury gospodarki, której celem będzie
odzyskanie suwerenności gospodarczej
kraju, ograniczenie nadmiernej zależności
produkcji od importu, przestawienie prze-
mysłu na szersze wykorzystanie zasobów
surowcowych.

Do marca ma być przedstawiony pro-
gram rozszerzenia współpracy gospodarczej
z krajami RWP.

ŚWIAT

W CIENIU WUJA SAMA

nienie od nich Ameryki Łacińskiej. Przy-
pomnieniem może być tutaj wojna amery-
kańsko-hiszpańska, kiedy to niepodległość
uzyskały Kuba i leżące na Pacyfiku Fili-
piny. Oba państwa w różny sposób zostały
uzależnione przez Stany Zjednoczone, a
prezydent Theodor Roosevelt ogłosił poli-
tykę „grubej kija”.

Zgodnie z Orędziem do Kongresu z 4
grudnia 1903 r. brzmiała ona następująco:
„W granicach tej półkuli wierności Stanów
Zjednoczonych doktrynie Monroego może
je zmusić, mimo brzydzenia się tego ro-
dzaju akcją, do występowania, w przypad-
ku rażących nieporządków bądź bezsilno-
ści, w roli międzynarodowej siły policyj-
nej”. Tymczasem prywatne inwestycje ka-
pitalów z USA lokowano w krajach Ame-
ryki Łacińskiej, ponieważ miały dobrą
ochronę ze strony rządu USA.

Nie wchodząc w szczegóły, należy jednak
przypomnieć, że grabież dokonywana przez
amerykańskie monopole i miejscowe klasy
posiadające spotykała się ze sprzeciwami
społeczeństw krajów Ameryki Łacińskiej.
Wybuchły liczne powstania i buntów be-
stiańsko zresztą tłumione, ich przywódcy
byli symbolami walki przeciwko amery-
kańskiemu koncernom i rodzimym wyzyski-
waczom. Nie sposób zapominać o szalo-
nych kontrastach społecznych, jakie wy-
stępują właśnie w Ameryce Łacińskiej. I
tak np. z danych ONZ sprzed kilku lat
wynika, że 6 mln najbogatszych Latyno-

Ogromny kompleks spraw i problemów
postawiono przed rolnictwem. Nadzernym
celem naszego rolnictwa musi być osiągnię-
cie samowystarczalności w produkcji żyw-
ności. Polska może i musi sama się wyży-
wić! W związku z tym jeszcze w lutym
ministrowie hutnictwa i przemysłu maszy-
nowego oraz przemysłu chemicznego i lek-
kiego mają przedłożyć rządowi propozy-
cje dalszego skutecznego przestawienia
produkcji przemysłowej na rzecz rolni-
ctwa.

Godne podkreślenia są starania zmierz-
ające do opracowania realnego i komplek-
sowego programu budownictwa mieszka-
niowego do 1990 roku. Będą określone no-
we zasady udzielania pomocy przez pań-
stwo dla nowo tworzonej małych spół-
dzielni mieszkaniowych. Mogą one być
szansą dla młodych małżeństw, dla przy-
śpieszenia spółdzielczego, i nie tylko, bu-
downictwa indywidualnego.

Nas, pedagogów, cieszy z pewnością de-
cyzja, iż do końca maja tego roku ma być
opracowany plan rozbudowy infrastruktury
osiedlowej — zwłaszcza żłobków, przed-
szkoli, szkół oraz sklepów.

Ważne zadania postawiono przed wszy-
stkimi resortami. Wykonanie tych zadań
jest w tej chwili najważniejszą sprawą dla
rządu. Oczywiście, ich realizacja zależeć
będzie od nas wszystkich, naszej pracy,
przede wszystkim. Małe światło w tunelu
zaczyna już świecić. Przykładem — prze-
mysł wydobywczy, szczególnie węgiel ka-
miennego. Górnicy zaczynają osiągać wy-
niki, które są rekordowymi, nie notowa-
nymi od wielu miesięcy.

PAP podał niedawno informację, że por-
ty Trójmiasta przeładowały w styczniu bie-
żącego roku 132 tysiące ton węgla więcej
niż w analogicznym okresie roku ubiegłego.
Obecnie na placach składowych Portu
Północnego znajduje się ponad 250 tys. ton
węgla, w basenie „Zawadzkiego” portu
gdańskiego blisko 40 tys. ton itd.

A więc sytuacja w zakresie eksportu wę-
gla zaczyna ulegać zmianie na lepsze. Eks-
port węgla to dewizy — to możliwość za-
kupu za granicą innych produktów tak po-
trzebnych naszemu przemysłowi, który dziś
jeszcze nie może uruchomić wszystkich
swoich mocy produkcyjnych, często wła-
śnie z braku niezbędnych materiałów im-
portowanych z Zachodu.

Po burzliwym, długim okresie zastoju w
naszej gospodarce takie informacje po pro-
stu wzbudzają pewien, mały jeszcze wpra-
wdzie, ale optymizm. (ZP)

sów zarabiali dokładnie tyle, co 140 mln
najbiedniejszych mieszkańców hemisfery.
Latyfundia ziemskie w niektórych krajach
przekraczają powierzchnią obszar Belgii
czy Holandii. W samym tylko Salwadorze
do 2 proc. właścicieli należy 60 proc. użyt-
ków rolnych, podobnie jest w Gwatemali
i w mniejszym stopniu w Hondurasie. Ana-
logicznie było w Nikaragui, z tą jedynie
różnicą, że prawie połowę ziemi skupiali w
swoich rękach Somoza i jego poplecznicy.

Założyciel tego „wielce szanowanego ro-
du” — użyjmy tu określeń z „Ojca Chrze-
stnego” — nie miał wcale dobrej opinii u
Franklina Delano Roosevelta. Prezydent
USA na wiadomość o dokonanych mor-
dach przeciwników, w tym Augusto San-
dino, oświadczył: „to jest nasz s...syn”.

Naiwnie brzmi obrona interwencji ame-
rykańskich po II wojnie światowej, główne
oparcie dla polityki amerykańskiej ma w
tym przypadku doktryna „powstrzymywa-
nia komunizmu” zaprezentowana w 1947 r.
Novum były pakti wojskowe (np. Pakt
Rio) i tworzenie systemu baz amerykań-
skich, zaś miejscowi wojskowi w znacznej
części szkoleni w amerykańskich uczel-
niach mieli być kolejnym elementem łą-
czącym latynoskich bogaczy z kapitalista-
mi ze Stanów Zjednoczonych.

Sukces rewolucji kubańskiej zaskoczył
Waszyngton, Stany Zjednoczone nie zde-
cydowały się na pełne zastosowanie się do
zasad „doktryny Monroego”. Doszło co
prawda do serii kryzysów, niemniej sta-
nowcza postawa ZSRR pozwoliła na prze-
trwanie Kuby. W kilka lat później docho-
dzi do interwencji USA w Dominikanie, a
próbę uzasadnienia tych działań podejmu-
je prezydent Lyndon B. Johnson. Jego sta-
nowisko lapidarnie podsumował bostoński
dziennik „Christian Science Monitor”:
„doktryna Johnsona — to doktryna Mon-
roego plus antykomunizm”.

Od tego czasu, mimo wielu wydarzeń, nie
doszło do zasadniczych zmian w polityce
amerykańskiej. Junta generalska w Chile
obaliła wybrany legalnie rząd Salvadora
Allende, którego CIA zwalczała już od
1964 r. USA udzielają nadal pomocy róż-
nym reżimom, do „doktryny Monroego”,
nazwanej kiedyś „kamieniem węgielnym
amerykańskiej polityki zagranicznej”, na-
wiązując dziś Ronald Reagan, zaś generało-
wie w Salwadorze i Gwatemali dobrze ro-
zumieją swą rolę i „ducha czasów”.

Lapidarnie skomentował to zresztą za-
chodnoniemiecki „Der Spiegel”: „Barba-
rystwo ma funkcję ideologiczną: polity-
cy i wojskowi obu państw przedstawiają
masakry jako swój wkład w walkę świato-
wą przeciw komunizmowi. Są w tym po-
pierani przez Waszyngton”.

LECH KANTOCH

NIE MOŻE NAS ZABRA- KNAĆ

Już ponad miesiąc funkcjonują — po przerwie — szkoły podstawowe i średnie; przed paru zaś dniami wznowiono zajęcia na wszystkich wyższych uczelniach. A zatem wszystko wróciło do normy? Pozornie tak. O realiach stanu wojennego przypominają jedynie młodzieży — i to tylko studenckiej — mocno zastrzone rygory studiów, zawieszenie działalności samorządu uczelnianego, przywrócenie zasad funkcjonowania szkoły zgodnych z postanowieniami ustawy z 1958 r.

Normalny rytm szkoły, zastrzone rygory i zwiększone obowiązki w uczelniach zapewniają szkołom i uczelniom warunki do spokojnej pracy. Byłoby jednak chyba ogromnym uproszczeniem, gdybyśmy zewnętrzną normalizację sytuacji w placówkach dydaktycznych — niezależnie od ich szczebla i wieku studiującej młodzieży — uznali za normalizację rzeczywistości, za powrót do psychicznego status quo ante uwalniający nas, dorosłych, a zwłaszcza nas, wychowawców, od niepokoju o to, co faktycznie ta młodzież przeżywa, z czym się boryka, jak widzi swoją przyszłość.

Ani w życiu osobistym, ani w życiu społecznym nie ma powrotów do stanów sprzed roku czy dwóch, a zwłaszcza nie ma powrotów do stanów przerwanych tak wielkim szokiem, jaki przeżyliśmy w ciągu ostatnich 18 miesięcy. Do zdrowia nie wraca się ani szybko, ani łatwo, ani bezboleśnie. A wraca się tym trudniej, im bardziej zewnętrzne okoliczności odbiegają od normy, im większy jest lęk o dziś i jutro. A przecież taka właśnie sytuacja jest naszym udziałem i te same lęki, te same niepokoje przeżywa młodzież. Z tym tylko, że przeżywa je znacznie gorzej, że jest może bardziej jeszcze, niż my, wewnętrznie rozdarta i obolała. Bardziej niż my, bo jest mniej odporna, bo jest wrażliwsza, zraniona.

Właśnie zraniona. Mówił o tym w czasie ostatniej sesji plenarnej Sejmu poseł J. Osmańczyk. Zwrócił uwagę na zjawisko, które, być może, umknęłoby naszej uwadze przesłonięte wydarzeniami i napięciami ostatnich tygodni. Zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo grożące młodemu pokoleniu, które w minionym półroczu z całym

młodzieńczym entuzjazmem, z wiarą i zaangażowaniem — przeczącym obiegowym poglądom o społecznych postawach młodzieży — włączyło się do walki o lepsze jutro.

Wiele w tym działaniu było fanfaronady. Wiele, zbyt wiele demagogii i ulegania nastrojom; wiele wreszcie upojenia własną „ważnością”, poczuciem siły. To prawda. Ale przecież wszystkie te błędy i potknięcia są typowe dla młodzieży; przecież te same elementy romantycznych gestów i póż znaleźć można było i w działalności konspiracyjnej pokolenia Kolumbów, mimo że ich ceną była nieraz śmierć i cierpienie. Nie powinno nam to jednak przesłaniać faktu, iż podłożem działania młodzieży była rzeczywista wiara w słuszność sprawy, rzeczywiste dążenie do oczyszczenia kraju z wszystkiego, co maci jego obraz, a o wyborze metod nie decydowała młodzież.

To młode pokolenie poniosło klęskę, poniosło klęskę w swej pierwszej wielkiej działalności społecznej — powiedział poseł Osmańczyk. — Bo jakiegokolwiek by nie były racjonalne uzasadnienia owej klęski, jakiegokolwiek dziś formułowałibyśmy oceny minionych 18 miesięcy, to nie przestaje być faktem, że marzenia młodzieży rozminęły się z twardą rzeczywistością polityczną, a młodzieńczy zryw, nie z jej przecież winy, zakończył się fiaskiem. Efekty zaś owej klęski doznanej u progu życia społecznego mogą zaowocować tym smutniejszymi efektami im gorętsze było zaangażowanie i entuzjazm. Mogą — jak stwierdził J. Osmańczyk — spowodować powstawanie postaw zbudowanych bądź na całkowitej negacji w stosunku do wszystkiego, co w tym kraju się dzieje, bądź też postaw konsumpcyjnych, nacechowanych zobojętnością wobec spraw społecznych, wobec społecznych potrzeb i oczekiwań. Tylko najsilniejsi, najbardziej psychicznie dojrzały zdolający samodzielnie dokonać analizy minionych wydarzeń, wypracować sobie własne oceny, dokonać wyboru drogi. Ale ilu ich będzie?

Myślę, że powinniśmy sobie uświadomić jasno i wyraźnie, iż stajemy dziś, jak nigdy chyba dotychczas, do najtrudniejszej batalii o przywrócenie naszej młodzieży wiary w sens pracy dla kraju, w wartość ideałów, w wartość moralnych i społecznych pryncypiów. A także do wielkiej mądrej pracy o przywrócenie zgody wewnątrz samego, niezwykle przecież rozdartego środowiska młodzieżowego. Samo zlikwidowanie NZS nie oznacza jeszcze przecież pojednania między młodymi o różnych orientacjach, o różnych doświadczeniach. Niepokoje i antagonizmy, które jeszcze niedawno bulwersowały młode pokolenie, nie znikną jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Podział na „wy” i „my” będzie dawał znać o sobie. I z tym także musimy się liczyć, o tym także musimy mówić otwarcie i uczciwie.

Historia nas nie oszczędza. Ileż to razy kolejnym pokoleniom Polaków przychodzi stanąć wobec pytań, na które pełnych odpowiedzi udziela dopiero przyszłość. Ileż to razy musimy dokonywać wyboru drogi?

Jesteśmy zmęczeni; zmęczeni może nawet bardziej niż młodzież, która szok psychiczny przeżywa dopiero po raz pierwszy. A jednak to właśnie my, nie kto inny, musimy przyjść tym młodym i najmłodszym z pomocą. Nie tylko pomocą fizyczną, aby zapewnić im możliwie najlepsze warunki przetrwania kryzysu, utrzymania sił fizycznych, ale przede wszystkim z pomocą psychiczną. Mądrą pomocą; opartą na uczciwej ocenie rzeczywistości, nie kryjącej się za łatwowinną sloganów.

Czy starczy nam odwagi, aby podjąć z młodzieżą dyskusję na każdy temat, aby przyznać się do własnych rozterek, pomyłek czy zawodów?

A przecież jeśli nie zdobędziemy się na ten trud, jeśli dziś nie staniemy u boku naszych wychowanków, jeśli zadowolimy się zewnętrznym spokojem panującym w szkołach i uczelniach, jeśli te podstawowe dyskusje odłożymy „na później”, na czas, kiedy sami zdołamy już uporać się ze sobą i z troskami naszego codziennego bytowania — przegramy nie tylko jako wychowawcy, ale też możemy przegrać jako naród, któremu przyjdzie być może wielu, bardzo wielu młodych uznać za pokolenie jeśli nie stracone, to przynajmniej zagubione.

CZY BĘDZIE WERYFIKACJA?

Minister oświaty i wychowania — Bolesław Faron udzielił wywiadu dziennikarzowi PAP. Na pytanie dziennikarza: „Krają pogłoski o weryfikacji kadry nauczycielskiej” minister odpowiedział następująco:

Prosta weryfikacja niełatwa. Jestem natomiast za bardzo gruntowną analizą kadry nauczycielskiej i wyciąganiem z tej analizy odpowiednich wniosków. Sądzę, że obecnie, po uchwaleniu przez Sejm Karty Nauczyciela, sytuacja w środowisku nauczycielskim, w oświacie stanie się jeszcze bardziej stabilna — co sprzyjać będzie pracy dydaktycznej i wychowawczej. Chciałbym bowiem podkreślić, że czeka nas ogromnie trudny i długotrwały proces wychowawczy. Ostatni okres doprowadził do ogromnego rozwichrzenia świadomości młodzieży, do jej dużej frustracji i znerwicowania. Przestrzegam wszystkich swoich kolegów nauczycieli przed stosowaniem w tym procesie wychowawczym wytrychów, działań pozornych, przed fascynowaniem się zarządzeniami typu wychowawczego, wytycznymi w sprawach wychowania. Jestem absolutnie przeciwny pozornym działaniom wychowawczym; zrobilibyśmy najgorzej, gdybyśmy powtórzyli wcześniejsze błędy i doprowadzili do istnienia podwójnego systemu wychowawczego — innego w rodzinie, innego w szkole. Ale wymaga to również edukacji rodziców i społeczeństwa. Szkoła nie działa w próżni, ani politycznej, ani społecznej — reaguje bardzo żywo na to co dzieje się wokół.

NARADY AKTYWU OŚWIATOWEGO

We wszystkich województwach odbyły się ostatnio narady aktywu oświatowego, podczas których dyrektorom szkół różnych typów oraz pracownikom administracji szkolnej z miast i gmin przekazano wytyczne resortu dotyczące pracy w okresie stanu wojennego.

W Gorzowie Wielkopolskim w naradzie takiej z udziałem około 200 osób, uczestniczyli między innymi i sekretarz KW PZPR Florian Ratajczak (z zawodu nauczyciel, wieloletni działacz oświatowy, wyróżniony za pracę Medalem Komisji Edukacji Narodowej), pełnomocnik wojewódzki Komitetu Obrony Kraju, płk Edmund Kubiak oraz wicewojewoda gorzowski Mirosław Jukiewicz. W nawiązaniu do programowego wystąpienia prowadzącego naradę kuratora oświaty i wychowania Józefa Przekwasa, przekazali oni zebrany własne refleksje na temat specyficznych obecnie warunków działalności pedagogicznej. Podkreślano zwłaszcza rosnące znaczenie oddziaływań ideowo-wychowawczych. Jak stwierdził i sekretarz KW PZPR, wszystkie instancje partyjne w województwie zostały zobowiązane do wykazania szczególnej troski o aktywizację podstawowych organizacji szkolnych i międzyszkolnych. Znaczenie, rangę zawodu nauczycielskiego ponownie, podkreślone w Kartie uchwalonej niedawno przez Sejm, sprawia, że partia przywiązuje wielką wagę do konsolidacji tego środowiska wokół programu porozumienia narodowego.

Główny dyrektor szkół w Pelczycach Edward Kierlin przedstawił zebranym przyjeżdżającemu następnie przez aklamację tekst apelu do ogółu pracowników oświaty województwa gorzowskiego. „Wykorzystajmy nasze nauczycielskie możliwości. Zadbajmy o to, by w naszych placówkach realizowany był w pełni socjalistyczny program wychowawczy i nie było w nich miejsca na wpływy wrogich ideologii. Odrzućmy wzajemne nieufności i wszystko, co nas dzieli i różni. Budujmy autorytet szkoły na jednolitej zawodowej nauczycieli, wychowawców i pracowników oświaty. Niech w codziennej pracy towarzyszy nam zgoda, wzajemna życzliwość, wysoka kultura, poszanowanie godności ludzkiej” — czytamy w tekście apelu. (jt)

INWESTYCJE W ŁOMŻYŃSKIM

Czasowe trudności z zaopatrzeniem materiałowym nie przekreślają planów inwestycji oświaty w województwie łomżyńskim. Miejscowe kuratorium pozyskało kilku wykonawców, spośród których największy — Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane — ma w bieżącym roku oddać do użytku przede wszystkim wielką szkołę osiedlową (dla 1080 uczniów) w stolicy województwa, a ponadto kontynuuje prace przy wznoszeniu obiektu dla Zbiorczej Szkoły Gminnej (23 pomieszczenia do nauki) w Grabowie. Buduje się też czterooddziałowe przedszkole w Ciechanowcu i dwuoddziałowe — w Wasoszu. Poza oddanym niedawno sześcioddziałowym obiektem przedszkolnym w Łomży przybędzie jeszcze następny — na cztery oddziały.

Osobnym ważnym działem inwestycji stało się w Łomżyńskim budownictwo mieszkań dla nauczycieli. Dwunastorodzinne bloki powstają w Piekutach i Ciechanowcu, zaś ośmiorodzinne — w Miałkowie i Bogutach. Przewiduje się też ukończenie w bieżącym roku sześciopiętrowego budynku w podłomżyńskiej Piąticy.

Koszty inwestycyjne, liczone według nowych cen, rosły teraz trzykrotnie, jednak kuratorium uzyskało na prowadzenie inwestycji pełne pokrycie budżetowe. Na szczęście porzucono i tutaj, jak wszędzie w kraju, dawniej stosowany podział nakładów na budownictwo oświatowe — gdy jedne obiekty powstawały z budżetu terenowego, zaś inne, nie wiadomo czemu, ze środków resortowych. Obecnie całością sum na te inwestycje rozporządza kuratorium i może teraz, naleyście sterując nakładami i umowami z wykonawcą lokalnym, wzmacniać tempo budów, na które niecierpliwie czeka środowisko.

Na szczególną uwagę zasługuje w tym województwie dbałość o poprawę warunków mieszkaniowych nauczycieli wiejskich. Jeśli uda się dotrzymać planowanych terminów wymienionych wyżej inwestycji (a pierwszy tydzień roku tutejsi budowlani bynajmniej nie zmarowali), poprawa ta już przyszłej zimy stanie się wyraźniej widoczna. Należy też oczekiwać, że komisja oświaty wojewódzkiej rady narodowej zadba w najbliższych tygodniach o kontrolę tempa budów dla szkolnictwa. (jt)

SZKOLNICTWO WYŻSZE

8 lutego br. wznowiono pełne zajęcia we wszystkich szkołach wyższych podległych Ministerstwu Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Pracują już również wyższe szkoły artystyczne, medyczne oraz uczelnie Ministerstwa Obrony Narodowej.

Ze względu na kilkumiesięczną przerwę w nauce spowodowaną najpierw strajkami studenckimi, a następnie decyzjami związanymi ze stanem wojennym, zajęcia trwać będą w tym roku aż do 25 czerwca, zaś sesje egzaminacyjne zakończą się 15 lipca. Zniesiono też w tym roku przerwę semestralną.

Funkcjonowanie uczelni opierać się będzie na zasadach ustawy z 1958 r., wytycznych Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki obowiązujących w okresie stanu wojennego oraz tymczasowych regulaminach studiów.

Proces dydaktyczny przebiegać będzie według nieco zmienionych zasad przewidujących zastrzeżenie rygorów studiów. Polegają one między innymi na wprowadzeniu obowiązkowego uczestnictwa studentów nie tylko na wykładach, jak to było dotychczas, ale także na wykładach i innych zajęciach. Studenci będą mieli prawo tylko do 1 egzaminu poprawkowego — w miejsce dotychczasowych dwóch — trudniej też będzie uzyskać zgodę na odbycie egzaminu komisyjnego.

Wprowadzono też zasadę, że w ciągu całego okresu studiów wolno powtarzać tylko 1 rok. Ci studenci zatem, którym na jakimś etapie nauki już raz podwinęła się noga, muszą niezmiernie uważać, aby podobny przypadek się nie powtórzył.

W czasie stanu wojennego zawieszono działalność organizacji studenckich i samorządu uczelnianego. Funkcje kierownicze sprawuje rektor wraz z senatem, zaś w odniesieniu do wydziałów — rady wydziału.

Studentów winnych łamania praw stanu wojennego, rektor będący obecnie suwerenną władzą uczelni może skreślić z listy bez odwoływania się do postępowania dyscyplinarnego.

Tenże sam rektor ma prawo do nakładania na studentów obowiązku pracy społecznej dla kraju.

KARTA JESZCZE RAZ W „GŁOSIE”

Na liczne prośby naszych Czytelników, którym nie udało się zdobyć pierwszego numeru „Głosu” — zamieścimy raz jeszcze tekst Karty Nauczyciela w następnym, 3 numerze.



Rozmowa
z WŁADYSŁAWEM KATĄ
zastępcą kierownika
Wydziału Nauki i Oświaty
KC PZPR

POP W SZKOLE

— Jaki procent czynnych nauczycieli należy do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej?

— Ten procent jest bardzo wysoki, zdecydowanie wyższy niż w innych grupach zawodowych. Ponad 38 procent czynnych nauczycieli to członkowie i kandydaci PZPR.

— Czy ostatnie wydarzenia w naszym kraju spowodowały odpływ nauczycieli z partii?

— Były przypadki składania legitymacji partyjnych i były przypadki wydalania z szeregow PZPR za niewłaściwe postawy.

— Przypadki?

— Zdecydowana większość partyjnych nauczycieli nie utożsamiała wypaczeń „dekady sukcesu” z socjalizmem, jego humanistycznymi ideałami. Poza tym, mimo błędów, w Polsce Ludowej dla upowszechnienia oświaty uczyniono bardzo dużo. Ponad 1200 tysięcy dyplomów ukończenia studiów wyższych właśnie w Polsce Ludowej dobitnie o tym świadczy. Było to możliwe dzięki upowszechnieniu wykształcenia ponadpodstawowego. Obecnie 98 procent absolwentów szkół podstawowych kontynuuje naukę w szkołach ponadpodstawowych, a 42,5 procent w szkołach średnich. Te fakty nauczyciele doceniają.

— Błędy były jednak wielkie.

— Nikt temu nie zaprzecza. Dekada sukcesów uczyniła sporo szkód naszej oświacie i całej edukacji narodowej. Za dużo było improwizacji i działań pozornych, a tymczasem właśnie w tych dziedzinach liczyły się, i liczą nadal, konkretne decyzje o budowie nowych szkół, przedszkoli, internatów, mieszkań dla nauczycieli oraz plac. Takich konkretnych decyzji było za mało i tak oto zaczął się tworzyć w oświacie zamknięty krąg bezradności. Chcąc uniknąć klęski, zaczęto łączyć dziury. Równocześnie nie wypadało odstępować od decyzji, które zapadły wcześniej, w pierwszych latach dekady. Stąd uporczywe trzymanie się koncepcji reform strukturalnych w oświacie, mimo braku możliwości na ich realizację. I tak na przykład, powodzenie reformy zależało w znacznej mierze od budownictwa szkolnego. Tymczasem po 1975 roku plan budownictwa szkolnego zaczął się gwałtownie załamywać. Reforma została zagrożona. Wiele ludzi zdawało sobie z tego sprawę, ich opinie nie były jednak brane pod uwagę.

— Myślę, że tę oczywistą prawdę najszczytniej zrozumieli nauczyciele. I wytworzyła się dość paradoksalna sytuacja, w tym również w szkolnych POP. Nauczyciele — członkowie partii, którzy w szkole powinni być w myśl wytycznych instancji — inspiratorami ugruntowania idei reformy, zachowywali się dość biernie, a egzekutywy szkolnych organizacji nie dość aktywnie włączały się w nurt tych przemian. Owszem, organizowały zebrania, ale dyskusje na ten temat — co tu dużo mówić — nie były zbyt żarliwe. Nauczyciele znali po prostu rzeczywistość, byli blisko życia.

— W pewnej części można zgodzić się z taką opinią. Pragnę jednak podkreślić, że nie wszystkie rozwiązania reformy oświaty można potęgować, co próbują czynić niektórzy. Weźmy chociażby koncepcję zbiorczości. W pierwszych dwóch, trzech latach jej realizacji szkoły zbiorcze powstawały tam, gdzie istniały ku temu warunki, gdzie zor-

ganizowano sieć dojazdów, stworzono nauczycielom niezłe warunki mieszkaniowe. W tym czasie poprawiły się wyraźnie wyniki nauczania dzieci i młodzieży mieszkających na wsi. Potem jakoś przeszła w ilość. Tworzono nowe szkoły zbiorcze, nie zastanawiając się, czy są ku temu sprzyjające warunki. Słuszną ideą została więc w dużym stopniu wypaczona, nie miała materialnego zabezpieczenia. Rzecz jednak w tym, aby obecnie nie wylać dziecka wraz z kąpielą. Tak, jak niegdyś, nie należało tworzyć na siłę zbiorczych szkół gminnych, tak teraz nie należy ich na siłę, bez zastanowienia likwidować. Krańcowość jest tu szkodliwa. Szkoły zbiorcze istnieją i rozwijają się we wszystkich rozwiniętych krajach świata. Dla naszej zbiorczości musimy jednak stworzyć autentyczne zielone światło. Przede wszystkim w Komisji Planowania i Ministerstwie Finansów. W przeszłości, na skutek niedoceniania budowy obiektów oświatowych, braku mocy przerobowych, plany inwestycyjne w zakresie przedszkoli i szkół nie były wykonywane. W latach 1976—80 wykonano tylko 70 procent inwestycji szkolnych. Natomiast wykonanie planów inwestycyjnych za rok 1981 wyniosło 30 procent! Nie była to wina resortu oświaty i wychowania, gdyż nie dysponuje on mocami przerobowymi w postaci przedsiębiorstw budowlano-montażowych. Teraz chodzi o to, aby nie odebrać oświacie tych środków, muszą być one wykorzystane w roku bieżącym i następnym. Trzeba bowiem zdecydowanie postawić na budownictwo szkolne i przedszkolne, zdecydowanie zwiększać budowę mieszkań dla nauczycieli, szczególnie na wsi, gdyż bez tego nie pozyska się nowych kadr dla szkół na wsi.

— Zostałmy jednak przy generalnym temacie naszej rozmowy. Czy POP w szkole są potrzebne. Zadając to pytanie nie bez podstaw. Wszak jeszcze nie tak dawno, niektórzy działacze zawieszono zwłazku „Solidarność” głosili publicznie hasła, że POP w zakładach pracy, w szkołach, nie są potrzebne. Twierdzono, że w szkołach POP przeszkadzają w prowadzeniu pracy dydaktycznej.

— Rzeczywiście, głoszone takie poglądy. Były nawet próby „wyprowadzania” sekretarzy i komitetów zakładowych PZPR z fabryk. Te próby spotykały się jednak ze zdecydowanym odporem członków partii, pracowników bezpartyjnych, większości społeczeństwa, dla którego atak na partię — a mówiąc partia nie mam na myśli tych członków z byłego kierownictwa, którzy zasłużyli na potępienie — był atakiem na socjalistyczny ustroj Polski, jej konstytucję. Dziś widać to jasno i wyraźnie. A wracając do pytania: POP w szkole były, są i będą, a ich zadania są dziś szczególnie odpowiedzialne.

— Właśnie. Jakże przede wszystkim sprawy i problemy powinny podejmować szkolne organizacje partyjne, w obecnej sytuacji. Zadając to pytanie, zdaję sobie sprawę z faktu, że jeszcze tak niedawno instancje partyjne swoimi licznymi wytycznymi wciąż dyktowały organizacjom partyjnym, często poprzez te działania instruktazową tłumili, hamowali własne inicjatywy programowe i organizacyjne POP. Myślę jednak, że pytanie o kierunki pracy szkolnych POP nie zostanie odczytane jako próba instruowania ze strony instancji centralnej i Waszej osobiste.

— Moja refleksja nie może być, oczywiście, odczytana jako instrukcja do działania. Po prostu, moja odpowiedź na to pytanie wynika z obecnej sytuacji w oświacie, która nie jest łatwa, z obserwacji z różnego rodzaju spotkań, rozmów z na-

uczycielami. Mogę więc powiedzieć, że w obecnej chwili ważnym zadaniem dla szkolnych POP jest tworzenie warunków dla współdziałania i współpracy wszystkich nauczycieli oraz organizacji społecznych, dla obrony socjalistycznego charakteru polskiej szkoły, jej świeckości... Wiadomo, że do szkół, zwłaszcza średnich, przybywali różni emisariusze, którzy podrzucali nauczycielom, a przede wszystkim młodzieży, różnego rodzaju nielegalne wydawnictwa, namawiali do buntów i strajków w imię odkłamania historii itp. Podręczniki do historii w wielu fragmentach trzeba rzeczywiście uzupełnić, poprawić — czyni się to zresztą — ale „odklamując” nie wolno znowu kłamać, negować dorobku Polski Ludowej, jej polityki. Szkolne POP, ich egzekutywy, muszą dać odpór tym zafałszowaniom dokonywanym przez przeciwników socjalizmu. Mamy w szkołach znakomitych historyków. Wielu z nich to członkowie PZPR, dobrze przygotowani do podjęcia tematów, prowadzenia dyskusji z młodzieżą. Trzeba tylko z ich strony większej odwagi, inicjatywy i samodzielności... W tym miejscu chcę mocno podkreślić: niezależnie od wyznawanego światopoglądu, przynależności partyjnej, przed każdym nauczycielem staje dziś obowiązek — po pierwsze: prowadzenia procesu dydaktyczno-wychowawczego zgodnie z programem, podręcznikami, lekturami zatwierdzonymi przez ministra oświaty i wychowania. Nielegalne materiały, w tym dywersyjne opracowania, nie mogą być uznawane jako pomoc naukowa i tolerowane na terenie szkoły. Interpretacja treści nauczania musi być zgodna z postępem wiedzy w danym przedmiocie, zgodna z osiągnięciami teorii pedagogicznej i niesprzeczna z socjalistycznym charakterem państwa. Po drugie: uznawania socjalistycznego systemu wartości w wychowaniu oraz świeckiego charakteru szkoły. Tylko świecki charakter szkoły oparty o 82 art. Konstytucji PRL i ustawę sejmową z 1961 roku, może zapewnić tolerancję wyznaniową.

Cele kształcenia i wychowania w każdym państwie wynikają z jego podstaw ustrojowych, ideologii i polityki, tradycji narodowych. Ta wyłączność państwa w określaniu celów kształcenia została uznana przez UNESCO. Cytuję: „Zaden ustroj społeczno-polityczny nie może rezygnować z umacniania swych podstaw przez przyciąganie umysłów, serc ludzi do swych zasad, idei, wspólnych poglądów, a nawet mitów, które tworzą normalną spójną nastrod...”

Jeszcze raz chcę podkreślić, że ważnym zadaniem dla szkolnych POP i wszystkich nauczycieli jest obrona świeckiego charakteru szkoły. Rozdział państwa od kościoła jest dziełem rewolucji francuskiej i stał się powszechną zasadą konstytucyjną w świecie. Jednym wyjątkiem jest Iran. Tę zasadę uznaje Kościół Katolicki w Polsce. Dzięki niej Polska należy do grona tych krajów i narodów, w których obowiązuje tolerancja wyznaniowa. Jest ona przestrzegana zarówno przez państwo, jak i kościół i nikomu w szkole nie wolno jej podważać. Przestrzegając zasady świeckości, szkoła nasza musi być przepełniona duchem tolerancji, stwarzać warunki do wyboru światopoglądu przez młodzież. W sprawie świeckiego charakteru szkoły partia nasza stoi na gruncie poszanowania godności każdego człowieka, niezależnie od jego wyznania. Wszyscy nauczyciele muszą być rzecznikami świeckiej szkoły, nie-dzielenia naszej młodzieży na wierzących i niewierzących, lecz jednoczenia wszystkich, na gruncie poszanowania praw obywatelskich, zagwarantowanych przez Konstytucję... Kształtowanie właściwej atmosfery w szkole i poprawnych stosunków międzyludzkich, podejmowanie problemów ideologicznych na zebraniach, inicjo-

wanie spraw i problemów związanych z demokratyzacją życia szkoły, jej samorządnością, interesowanie się warunkami pracy i życia nauczycieli, w tym młodej kadry pedagogicznej, warunkami socjalnymi, pracą służb socjalnych — to też tematy pracy dla szkolnych POP i ich egzekutyw.

— Proszę o kilka zdań na temat stosunku szkolnych POP do organizacji młodzieżowych działających w szkole, samorządu uczniowskiego.

— W uchwale IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR czytamy: „Niezbędne jest okazywanie wielostronnej pomocy organizacjom młodzieżowym działającym na terenie szkoły, wspieranie wszystkich poczyną młodzieży, które wzbogacają formy jej samorządu, uczyć i wychowywać w duchu socjalistycznej demokracji”. Stąd wniosek: wspólnym wysiłkiem szkolnych POP, władz szkolnych, rad pedagogicznych powinniśmy wspierać ZHP, ZSMP, ZMW w ich pracy na terenie szkół, nie dopuszczając do podziałów wśród dzieci i młodzieży, chronić młode pokolenie przed wciąganiem do wrogiej Polsce działalności.

— Czy Wydział Nauki i Oświaty przygotowuje materiały przewidziane do szkoleń prowadzonych w POP?

— Tak. Są to ważne materiały, bardzo aktualne, związane z tymi wszystkimi problemami ideologicznymi, które nurtują pedagogów. Będą one rozsyłane do komitetów wojewódzkich, a stamtąd do szkół. Oto tytuły niektórych z nich: „Rozwój stosunków polsko-radzieckich w okresie międzywojennym, w czasie drugiej wojny światowej i w okresie PRL”, „Kierunki rozwoju demokracji socjalistycznej”, „Świecki i socjalistyczny charakter szkoły w PRL” oraz inne. Nie będziemy w nich powielać utartych zwrotów, walczyć o problemy powszechnie znanych, gdyż szkolenie w organizacjach partyjnych musi stać na wysokim poziomie. Tego domagają się szeregowi członkowie partii ze wszystkich środowisk. Mówią o tym również nauczyciele na zebraniach, w których uczestniczę. Przykład: nauczyciele-członkowie partii z Zespołu Szkół im. Pawła Fintera w Częstochowie. Na tym zebraniu stwierdzono: szkolenie — tak, ale na odpowiednim poziomie i zgodnie z potrzebami środowiska. Zgadzam się z taką opinią.

— I jeszcze jedno pytanie: w środowiskach nauczycielskich wiele się dzisiaj mówi i dyskutuje o problemach z okresu przed wprowadzeniem stanu wojennego w kraju. Wraca się na przykład w tych dyskusjach do strajków w niektórych szkołach lubelskich. Czy były one potrzebne, komu służyły, bo na pewno nie nauczycielom i młodzieży, jak to wielokrotnie stwierdzał Związek Nauczycielstwa Polskiego.

— Strajki w naszym kraju — w tym również podejmowane w niektórych lubelskich szkołach — były naprawdę niepotrzebne. Spowodowały one wielkie straty materialne, a przede wszystkim i moralne. Związek Nauczycielstwa Polskiego, jego działacze i członkowie jednoznacznie opowiedzieli się przeciwko tym strajkom, służyły one bowiem nie szkole i nauczycielom, lecz określonym ekstremalnym siłom „Solidarności”, którym marzyły się nie stołki związkowe, lecz fotele rządowe. Taka była prawda. Przed wprowadzeniem stanu wojennego partia i rząd głosiły, że są za dialogiem i porozumieniem w każdej ważnej dla kraju sprawie. Również konflikt w Lublinie, zaistniały między tamtejszą nauczycielską „Solidarnością” a władzami, można było rozwiązać bez stosowania strajków, wymuszenia ich przez bojówki, bez tego całego ceremoniału z wywieśzaniem flag, nakładaniem białoczerwonych opasek na rękawy, bez tej ulotkowej i gazetkowej propagandy, która była wodą na młyn różnego rodzaju demagogom. Zięjącym nienawiścią do wszystkiego co socjalistyczne. Myślę, że dziś każdy nauczyciel z tej lubelskiej sprawy potrafi wyciągnąć wnioski przede wszystkim dla siebie.

— Jestem przekonany, że zdecydowana większość nauczycieli również z zawieszono- go zwiazku zawodowego „Solidarność” takie wnioski dla siebie wyciągnęła. Jestem przekonany, że ten etap z naszej współczesnej historii zostanie dokładnie przeanalizowany, że potrafimy się odnaleźć jako obywatele i jako pedagodzy. Bieżące życie szkoły świadczy o tym najlepiej.

— Zgadzam się z tą opinią. W szkołach obserwujemy wzmożony rytm pracy. Trwają dyskusje, ale trwa również intensywna praca dydaktyczno-wychowawcza. Odnajdują się — po okresie pewnego zagubienia — szkolne organizacje partyjne. Odbijają się zebrania, dyskusje. Sporo mówi się też o nowej Kadry Nauczyciela. W tym miejscu pragnę powiedzieć, że właśnie Związek Nauczycielstwa Polskiego — jego działacze i szeregowi członkowie — wiele uczynili aby ta nowa ustawa sejmowa ukazała się w treści w zdecydowanej większości wypadków odpowiadającej całemu środowisku nauczycielskiemu.

— Dziękuję za rozmowę.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI
Fot. Cz. Górski

JERZY MOŚCICKI
I sekretarz międzyszkolnej organizacji
partyjnej w Rzepinie, woj. gorzowskie

KAŻDA SPRAWA MUSI BYĆ NAM BLISKA

Obecną funkcję partyjną — głowami kilkudziesięciu rzepińskich pracowników oświaty, członków PZPR — objąłem w maju ubiegłego roku. Zgodnie z wolą uczestników zebrania sprawozdawczo-wyborczego, egzekutywa zapowiedziała wówczas towarzyszom, iż żadna sprawa, z którą przyjdzie do partii, nie będzie nam obojętna.

Sposobność udowodnienia, że nie rzucaliśmy słów na wiatr, nadarzyła się rychło. Na wniosek nauczycieli z naszej międzyszkolnej organizacji partyjnej podjęliśmy przede wszystkim energiczne starania, zmierzające do zmiany decyzji o przydziałach mieszkaniowych, którą zainteresowani uznawali za krzywdzącą. Artykuł na ten temat opublikowałem jesienią ubiegłego roku „Głos Nauczycielski”, korzystam więc ze sposobności, by podziękować redakcji za to ważne dla nas wsparcie. Nauczyciele u nas, nie tylko zainteresowani, odebrali ze szczerą satysfakcją fakt, że ich gazeta angażuje się w dochodzenie sprawiedliwości, także tej małej, na skromną — lokalną — naszą miarę.

Gwoli ścisłości powinienem tutaj zaznaczyć, że sekretarz Urzędu Miasta i Gminy w Rzepinie nie ponosi — jak sugerował jeden z rozmówców autora artykułu — żadnej winy za błędne decyzje. Wykonywał on bowiem tylko wynikające z przepisów ustalenia. Gdy po ukazaniu się wspomnianej publikacji w „Głosie Nauczycielskim” problem mieszkań dla nauczycieli został poddany kompleksowej kontroli przez inspektorów z Urzędu Wojewódzkiego, sekretarz Urzędu Miasta i Gminy nie bronił żadnej z poprzednich decyzji; przeciwnie — przyczynił się do całkowitego wyjaśnienia sprawy.

Uzbrojeni w argumenty z łamów „Głosu”, na ubiegłorocznej listopadowej naradzie aktywny partyjnego z miasta i gminy powróciliśmy do tej kwestii. I sekretarz KMiG PZPR w Rzepinie, Longin Pastuszek nadał jej tzw. bieg urzędowy i w rezultacie dziś kilka rodzin nauczycielskich uzyskało dawno oczekiwane przydziały na mieszkania. Otwarte zebranie partyjne, które następnie zwołaliśmy, sformułowało na tej podstawie dalszy program działań egzekutywy naszej organizacji w sprawach socjalnych.

Obecnie — na czas zawieszenia działalności związków zawodowych — międzyszkolna organizacja partyjna tym bardziej musi każdą sprawę ludzką uznawać za bliską sobie. Pracujemy z tym przekonaniem, ludzie to dostarczają i przychodzą do nas z wieloma codziennymi kłopotami. Również bezpartyjni.

W jednej z placówek trzeba było interweniować w sprawie zastępstwa nauczycielskich, w drugiej — osobistym dramatem opiekunki szkolnej kasy oszczędności stała się kradzież kasety z zawartością 30 tysięcy złotych. Poradziliśmy, co powinna uczynić; sprawców wykryto. W innym przypadku interwencja egzekutywy naszej organizacji dotyczyła niewłaściwego trybu inwentaryzacji w bibliotece szkolnej. Uczestniczymy w rozdziale miejsce na wznowienie wcześnie (zawsze jest więcej chętnych, aniżeli skierowań). Zależy nam, aby jak najsprawiedliwiej kierować pomocą socjalną i wykorzystujemy w tym celu opinie członków partii.

Ostatnio zebranie partyjne poświęciliśmy wynikom niedawnego posiedzenia Sejmu; sporo mówiliśmy, oczywiście, o Karcie Nauczyciela. Chodziło zarazem o opinie środowiska na ten temat. Z żalem musimy stwierdzić, że informacja o Karcie ciągle pozostaje w naszym mieście niedostateczna.

Uprawnienia, które Karta przyznaje pedagogom, staną się dla naszej międzyszkolnej organizacji partyjnej nowym argumentem w dyskusjach z administracją terenową, aby zagwarantować ludziom w pełni to, co im się słusznie należy.

Nie zaniedbamy decydującego dla pracy partyjnej ideowo-wychowawczego oddziaływania na środowisko. Sądję jednak, że sprawy socjalne pozostaną na stałe w naszym polu widzenia — jeśli są rozwiązywane zgodnie ze sprawiedliwością i potrzebami społecznymi, przyczyniają się do umacniania autorytetu każdej POP, jedną także — pośrednio — dla programu partii ludzkie umysły i serca. (t)

JANINA SICIŃSKA
I sekretarz POP PZPR
w Szkole Podstawowej nr 11
im. gen. Karola Świerczewskiego
w Zielonej Górze

ZAWSZE Z LUDŹMI

Przed niewiele tygodniami — w połowie października ubiegłego roku — obchodziliśmy na skromną miarę, ale uroczyste 20-lecie istnienia naszej szkoły. Jedną z młodszych uczennic, Natalia Sawicka, napisała wtedy — pamiętam — w okolicznościowym wypracowaniu: „Do tego święta przygotowaliśmy się bardzo starannie. Chcieliśmy, aby nasza klasa była najpiękniejsza w oczach dawnych uczniów i przyjaciół szkoły”. Dodam, że chodziło, oczywiście, o gości zaproszonych do nas z tej okazji, utrzymujemy bowiem szerokie przyjacielskie kontakty z absolwentami.

Dla podstawowej organizacji partyjnej, która istnieje u nas tak długo, jak sama szkoła, jubileusz stał się okazją podsumowania rezultatów oddziaływania politycznego na środo-

wisko oraz jego ideowej inspiracji. Mogliśmy powiedzieć sobie nie bez satysfakcji więzi i współtowarzyszami pracy nigdy nie naruszyliśmy, również w najtrudniejszych chwilach POP zachowała w naszej szkole autorytet na miarę potrzeb.

Przyczynialiśmy się latami do konsolidacji poglądów grona pedagogicznego, w efekcie w całości pozostało ono w naszej „jedenastce” w szeregach ZNP. Nie było u nas żadnych związkowych podziałów organizacyjnych, zaś dyskusje o odnowie, stymulowane przez otwarte zebrania partyjne, zmierzały zawsze jednoznacznie do podkreślenia, że chodzi o odnowę rzeczywistą, socjalistyczną, zgodną z programem przyjętym na IX Zjeździe partii.

Stan wojenny, którego potrzebę wprowadzenia członkowie partii u nas rozumieli i wyjaśniali bezpartyjnym, nie stworzył zatem w „jedenastce” żadnych poważniejszych politycznych czy kadrowych problemów. Oczywiście, wraz z całym krajem odczuwamy uciążliwość ograniczeń praw obywatelskich, ale dostrzegamy też stopniowe postępy na drodze normalizacji życia i związanej z tym — etapami — likwidację wspomnianych ograniczeń. Pozwala to mieć pewność, że stan wojenny rzeczywiście nie potrwa ani chwili dłużej, niż to będzie konieczne. Za decyzjami Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego opowiada się w naszej szkole — stwierdzam to z całą odpowiedzialnością — ogół personelu. Przeżywając głęboko wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy optowaliśmy — zdyscyplinowanie — za tymi decyzjami, świadomi, że innego wyjścia nie było, gdyż chodziło o ład i porządek w kraju.

Przypomnę, że województwo zielonogórskie, targane przed grudniem 1981 r. strajkiem powszechnym, poniosło szczególnie duże straty w wyniku działań prawicowych sił, inspirujących „Solidarność”. Obowiązkiem każdej — a więc i naszej — POP było w tej sytuacji dać świadectwo prawdzie. I nie obawialiśmy się tego uczynić. U nas, mimo regionalnych napięć, ocaliliśmy wszyscy spokój w środowisku.

„Jedenastka”, jak inne szkoły w kraju, miała ponad trzytygodniową przerwę w zajęciach lekcyjnych. Czynna była jednak świetlica ze stołówką, organizowaliśmy dla uczniów zajęcia rekreacyjne, rodzice powierzały nam dzieci z pełnym zaufaniem, zaś rada pedagogiczna ze zrozumieniem przyjęła wprowadzone na ten czas bardzo pracochłonne dyżury nauczycielskie. Członkowie partii i tutaj nie zawiedli, pragnę to szczególnie podkreślić. Poszerzyło się tym samym ich pole oddziaływania, również politycznego, skoro mówimy o potrzebie rzetelności, punktualności solidności w pracy, zaczynamy od siebie.

Takie i na najbliższą przyszłość w oddziaływaniu tym upatruję klucz do dalszego ożywienia pracy POP. Jeśli nadal z takim przekonaniem będziemy z ludźmi, wśród nich, rola członków partii pozostanie znaczna w szkole i poza nią. (tt)

WITOLD MAŃCZAK
I sekretarz POP PZPR
w Szkole Podstawowej nr 43
w Poznaniu

WPROWADZIĆ NA WŁAŚCIWY TOR

Praca nauczyciela musi opierać się na współdziałaniu z rodzicami. To po pierwsze. Po drugie — w pracy wychowawczej nauczyciel powinien mieć sojusznika w organizacji młodzieżowej. Jednocześnie jednak żaden nauczyciel nie może zapomnieć o tym, jaką rolę pełni — musi wiedzieć, że jego zadaniem jest przekazanie uczciwej wiedzy oraz wychowywanie młodzieży. A nie każdy o tym pamięta. Zestawienie ze sobą tych wszystkich elementów jest wyjątkowo trudne. Tym trudniejsze jest więc dzisiaj wychowywanie.

Uczniowie są obecnie świadkami różnych dyskusji, choćby w domu. Poznają rozmaite poglądy i opinie. Będą zadawać pytania będą konfrontować to, co usłyszeli z tym, co powie wychowawca. Nauczyciel musi więc wskazywać, co jest trafne, a co nie, musi tłumaczyć, musi wyjaśniać. To prawda, że wielu pedagogów „rozhuśtało się” ostatnimi czasami, że nie wszyscy pracowali w taki sposób, w jaki powinni — najlepszym przykładem jest strajk w Lubelskiem. Po wielkich wzburzeniach następuje jednak z reguły uspokojenie. Nie można, rzecz jasna, liczyć, że pojawi się ono samo. Wielką rolę ma tu do odegrania zarówno dyrekcja szkoły, jak i organizacja partyjna.

Organizacje partyjne w szkołach muszą zacząć aktywnie uczestniczyć w zespołach doradczych dyrektorów, muszą być obecne w całym życiu szkoły. Był kiedyś taki system, zgodnie z którym przedmiotów społecznych uczyli sekretarze POP, ludzie ideowi i rzetelni. Dlaczegożby do tego nie wrócić? Nie chodzi przy tym wcale o to, żeby powracać do starych treści nauczania. Pamiętać jednak trzeba o jednym — w ciągu ostatnich miesięcy wielu nauczycieli popadło z jednej skrajności w drugą. Odbijało się to także na wspomnianych przedmiotach społecznych, których nauczanie znów częstokroć było jednostronne, choć w innym ujęciu. To, że miałyby je prowadzić sekretarze POP, stwarzałoby pewną gwarancję niepopadania w owe skrajności.

Są to z pewnością sprawy szczegółowe, ale stanowią one dość dobrą egzemplifikację działań, jakie partia musi podjąć „na jutro”. Po prostu — rolą partii jest i będzie podejmowanie takich działań, które wprowadzą życie szkoły ze wszystkimi jego przejawami na właściwy tor. Musimy zapobiec skrajnościom i rozchwianiu — inaczej o właściwej pracy wychowawczej nie może być mowy.

Opr. na podstawie „Trybuny Ludu”

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

KTO UCZESTNICZYŁ W STRAJKACH?

Rzucić się dzisiaj w niektórych wypowiedziach i publikacjach ciężkie oskarżenia pod adresem nauczycieli za strajki w szkołach. Tym samym sugeruje się społeczeństwu, że pedagodzy polscy — wszyscy i bez wyjątku — strajkowali, bądź opowiadali się za przeprowadzaniem reform w oświacie i szkolnictwie przy pomocy strajków, angażując w nie również dzieci i młodzież. Tymczasem tak sformułowane opinie — wrzucające wszystkich nauczycieli do jednego worka — są po prostu błędne. Prawda jest zupełnie inna.

Nauczyciele — zrzeszeni w Związku Nauczycielstwa Polskiego, a do tej właśnie organizacji należało ponad 70 procent czynnych nauczycieli i blisko 100 procent nauczycieli rencistów i emerytów, opowiedzieli się przeciwko strajkom w szkołach, przeciwko wszelkim próbom angażowania dzieci i młodzieży do spraw ludzi dorosłych, przeciwko różnego rodzaju manifestacjom na terenie szkół.

Wprowadzić w Statucie ZNP zapisano, iż „ZNP stosuje wszelkie prawnie dozwolone środki urzeczywistniania swych celów, z prawem do strajku włącznie” — jednak w posierpniowej praktyce działania, organizacja z tego zapisu nigdy nie skorzystała. Przeciwnie — w wielu uchwałach i rezolucjach podejmowanych w burzliwych latach 1980 — 1981 Związek opowiadał się zdecydowanie przeciwko strajkom w szkołach.

Oto kilka przykładów z ostatnich miesięcy. W oświadczeniu Sekretariatu Zarządu Głównego ZNP: „Oświata — opublikowanym między innymi w „Głosie Nauczycielskim” z 4 grudnia 1981 roku, czytamy: „Z naszym zdecydowanym sprzeciwem spotyka się ogłoszenie gotowości strajkowej w szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych oraz zapowiedź strajku czynnego...”

Ze zdecydowanym protestem nauczycieli — członków ZNP spotkały się strajki organizowane przez ekstremę nauczycielskiej „Solidarności” w szkołach Lublina i województwa lubelskiego. W apelu Zarządu Okręgu oraz Zarządu Oddziału ZNP w Lublinie, który opublikowany został między innymi również w „Głosie Nauczycielskim”, stwierdzono: „Stanowczo odcinamy się od działań strajkowych, w których podmiot naszej pracy spycha się na plan dalszy, stwarza atmosferę stanu wyjątkowego, konfliktowości, niepokoju i chaosu...”. I dalej w tym samym apelu: „Koleżanki i Koledzy! Zwracamy się do Was z apelem: w poczuciu dyscypliny związkowej uczynicie wszystko, by w Waszych placówkach oświatowo-wychowawczych panował ład, porządek, by trwała wyteżona praca dydaktyczno-wychowawcza, by problemy opiekuńcze rozwiązywano jak najszybciej, dla dobra dziecka i młodzieży”.

Jednoznaczne stanowisko w sprawach strajków studenckich na wyższych uczelniach zajął też — Zarząd Główny ZNP-Nauka. W oświadczeniu opublikowanym w 47 numerze „Głosu Nauczycielskiego” z 22 listopada 1981 roku czytamy: „ZNP-Nauka konsekwentnie podtrzymuje stanowisko, iż w aktualnej sytuacji eskalacja działań strajkowych utrudnia oczekiwane powszechnie zrozumienie narodowe. Z tego powodu uważamy, iż ani konflikt w WSI-Radom, ani nawet nieczyim nieusprawiedliwiona zwłoka w przekazaniu do Sejmu PRL ustawy o szkolnictwie wyższym nie stanowią dostatecznego powodu do powszechnej akcji strajkowej w polskich szkołach wyższych”.

Powiedzmy też otwarcie: w tym działaniu znajdowaliśmy zwolenników wśród nauczycieli i nauczycieli

szkół wyższych, szeregowych członków „Solidarności”. Są na to dowody w postaci uchwał i wniosków oraz wielu wypowiedzi.

Tak więc stanowisko nauczycieli w sprawie strajków w szkołach i różnego rodzaju manifestacji politycznych z udziałem dzieci i młodzieży nie było — jak chcą niektórzy — jednolite. Zdecydowana większość pedagogów i wychowawców opowiedziała się przeciwko strajkom. Taka jest prawda i powinni ją znać wszyscy publicyści wypowiadający się w tej kwestii publicznie oraz całe społeczeństwo.

Pisząc powyższe, pragniemy również powiedzieć, iż nie chcemy dziś dzielić nauczycieli na tych, którzy strajkowali w Lubelskiem, i tych, którzy nie poddawali się presji agitatorów i prowadzili normalne zajęcia, ku zadowoleniu rodziców i młodzieży. Są to problemy poważne, skomplikowane, problemy, z którymi będzie sobie musiał poradzić przede wszystkim samo środowisko nauczycielskie w poszczególnych szkołach, mając na uwadze jedno przede wszystkim: szkoła polska była, jest i będzie szkołą socjalistyczną, przygotowującą młodzież do roli budowniczych Polski Ludowej. Tę oczywistą prawdę rozumieją nauczyciele, zdecydowana ich większość. Nauczyciele ci, zdając sobie również sprawę i z tego, że nasza szkoła, nasza oświata i cała edukacja narodowa wymagają reform. Te reformy muszą być jak najszybciej wprowadzone w życie, a dotyczą one szerokiego wachlarza problemów — od demokratyzacji życia szkolnego zaczynając, a na zmianach treści programowych kończąc. Reformy te muszą być wprowadzone jeśli chcemy wywyższyć naszą edukację na wyższy poziom. O tym się mówi i pisze szeroko.

Za tymi zmianami opowiadali się nauczyciele zrzeszeni w ZNP. „Oświata. Chcą je jednak wprowadzić w życie tak jak tego wymaga ranga oświaty i wychowania w kraju — po rozważnym przedyskutowaniu problemów, przy czym słowo rozważnym nie ma nic wspólnego z przedłużeniem rozwiązywania tych problemów w nieskończoność. Sprawa Karty Nauczyciela może być tu podana za przykład. Tylko dzięki uporowi członków ZNP-Oświata ich odpowiedzialność i rozważne w prowadzeniu dyskusji nad projektem Karty z udziałem szerokiego kręgu nauczycielskich, jak również innych środowisk społecznych mamy dziś ustawę, na którą rzeczywiście czekało środowisko nauczycielskie.

Piotr Rządca w swoim artykule zamieszczonym w „Trybunie Ludu” zatytułowanym „Co odrzucić — co utrwalić” pisze między innymi: „Rozpoczyna się proces samooczyszczenia środowiska nauczycielskiego z negatywnych zjawisk przeszłości przedsierniowej, jak i z tendencji, które zrodziły się w ostatnich miesiącach, a prowadziły do negowania całego dorobku oświaty po wojnie. Piszę — samooczyszczenia — gdyż sądzę, że musi tego dokonać przede wszystkim sama społeczność nauczycielska, która chyba najlepiej wie, co będzie korzystne dla szkoły, a co jej przyniesie szkoda. Ma ona wystarczająco liczne siły społeczne i polityczne, by dokonać tego rzeczowo, sprawiedliwie i obiektywnie — dla wewnętrznej interpretacji, a nie kolejnego rozbicia”.

Słuszny to pogląd. Dla tych refleksji otwieramy i nasze łamy!

Łekki mrozik ścina lodem gliniastą maź i kałuże błota na budowie.

— Mamy tu tzw. nieuregulowane stoki wodne. Potrzeba jest cała sieć drenażowa, powstająca wraz z uzbiorzeniem terenu i drogami dojazdowymi. Było tutaj przecież — przypomina specjalista, od infrastruktury budowlanej mgr inż. Mieczysław Śnieciński — pole, czyste pole.

Jeszcze pół wieku temu położone za rogatkami Warszawy, dziś znalazło się o parę kroków od nowoczesnego centrum stolicy: Pole Mokotowskie, w zeszłym stuleciu modne miejsce wysiłków konnych i zamiejskich pikników, zaś w dobie drugiej Rzeczypospolitej — do czasu wybudowania lotniska na Okęcu — baza „aeroplanów”, teren zawodów krajowych i międzynarodowych, w których nasi piloci i baloniarze zdobywali światowe laury.

Zdążyło to pole w latach okupacji, zaś zaraz po wojnie obrosło różnymi barakami i rękami „domków fińskich”, które w zrujnowanym mieście, obłożone jako pomieszczenia zastępcze na lat, no, kilkanaście, dożywają miejscami prawie czterdziestolecia. Stara francuskie porządko o prowizorkę, która okazuje się najtrwalsza ze wszystkiego, potwierdza się i tutaj.

Jednak życie stolicy nie ominęło i Pola. Na znacznej jego części powstał park, a na północnym jego skraj — jedna z najważniejszych arterii — Trasa Łazienkowska. Środkiem, na miejskiej osi Północ — Południe, biegnie także ważna przełotowa Aleja Niepodległości. Do Dworca Centralnego — zaledwie — cztery przystanki tramwajowe i autobusowe, zaś na poboczu obu tras — parkowe zacisza. Czy można sobie wymarzyć lepszą lokalizację dla kompleksu obiektów kulturalnych, które — reprezentacyjne, a przy tym zaprojektowane utylitarnie — odwiedzać mają co dzień setki osób?

— Lepszego miejsca na ten cel nie znalazłoby się dziś nigdzie w Warszawie — podkreśla mgr inż. arch. Stanisław Fijałkowski, twórca projektu zespołu gmachów Biblioteki Narodowej, wznoszonych obecnie na Polu Mokotowskim.

— A to błoto tutaj? — pytam generalnego projektanta. Rozmówca mój wyraźnie się zryma:

— A gdzie w stolicy nie ma błota na budowach? Niełatwo omniać wysoki poziom wód gruntowych, budownictwo ma tu nieszezęliwie warunki, ale choć sporo grozi pochłaniania różnoraka izolacja, w tym tzw. ciężka, powtarzam — o lepszą lokalizację byłoby naprawdę trudno.

Ten sławny już dziś w kraju architekt przedstawił wiele koncepcji, zanim stworzył projekt, którego kompozycja zasadza się na pełnym wpięciu kompleksu bibliotecznego w naturalną zielen Polu Mokotowskiego, przy zachowaniu, dzięki bliskości wielkich arterii komunikacyjnych warunków łączności z krwioobiegiem miasta.

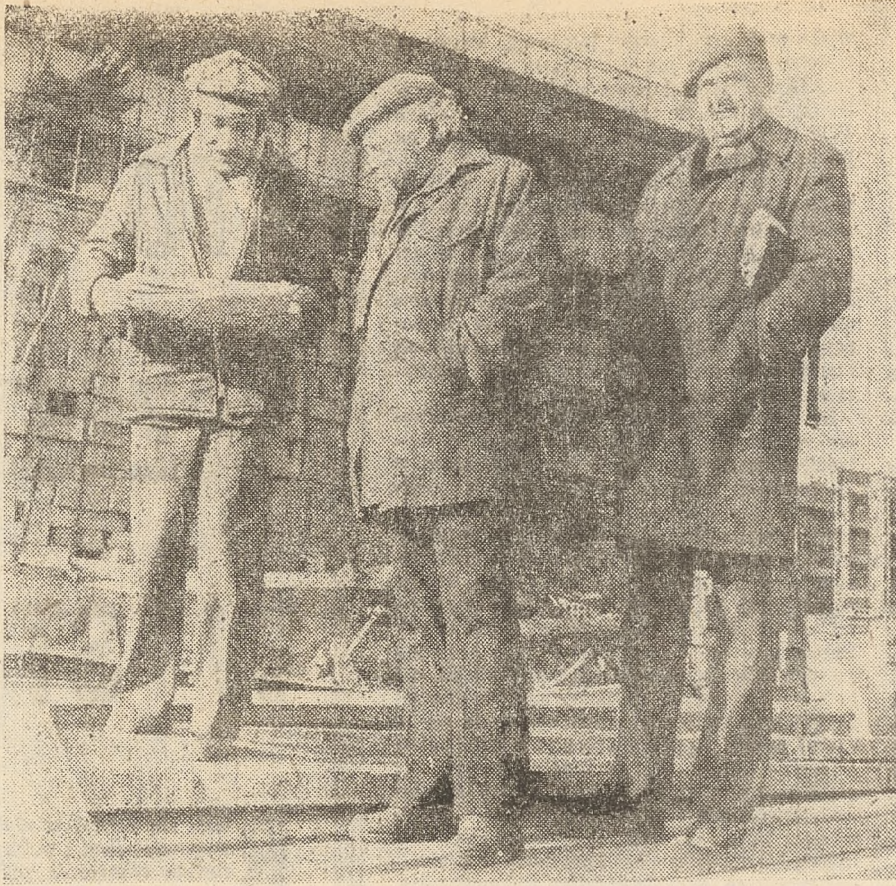
Analiza gabarytów kilku budowli, które wspólnie składają się będą na zespół biblieczny, jakiego Polska między jeszcze nie miała, wskazuje na daleko idące różnicowanie funkcjonalne. Budynek najwyższy — usytuowany frontem do głównej parkowej alei (biegnącej równoległe do Trasy Łazienkowskiej) — na jedenastu kondygnacjach magazynowych pomieścić ma minimum 5 milionów woluminów. W bezpośrednim sąsiedztwie tego, gotowego już w stanie surowym (z wykończoną elewacją) gmachu, wznosi się teraz kilkupiętrowy, przeszklony w zamierzeniu projektowany, obiekt „opracowania zbiorów”, z systemem elektronicznym, pracownikami konserwacji książek, pomieszczeniami dla naukowców, bibliotekarzy oraz dyrekcji, a także z własną drukarnią. Do całego kompleksu wchodzi ponadto: budynek „udostępniania zbiorów” (czyli najnowocześniejsze w kraju czytelnie: ogólna, czasopism oraz zbiorów specjalnych m. in. z urzędzeniami do odczytywania mikrofilmów, uzupełnione salami muzealnymi, projekcyjnymi i audytoriami oraz informatorium), budynek obsługi technicznej (z podziemnymi garażami) i socjalne. Łączniki pawilonowe zapewniają bezkolizyjną przejścia pod dachem, a ponadto — autonomiczny transport książek z magazynów do pracowni i czyteln.

Paradoksem stało się przy tym, że zamówione w firmie belgijskiej urzędzenia do magazynowania zwartego (będzie to jedyny, jak dotychczas, tak nowoczesny system we wszystkich krajach socjalistycznych) już nadchodzą, zaś o krajowych regałach... lepiej nie mówić!

— Cóż po projekcie, coż po oszczędnościach, gdy brakuje niekiedy zwykłej chęci działania — wyrzucają się generalnemu projektantowi słowa uzasadnionej gorzkości. „Bistyp” z Legionowa, producent owych regałów, ma podobno szczerą chęć, lecz oprócz nich — i zapasu błęchy naturalnej — nie rozprowadza całą resztą. A należy do niej przede wszystkim deficytowa farba akrylowa. Inna — nie nadaje się, bo pęka. Chemicy nast nie zdążyli wynaleźć lepszej.

Życie pokazało, że łatwiej było wybudować jedenastokondygnacyjny książnicę niż wyłożyć jej ściany od północy drogim piaskowcem „Włochy” i „Pińczak”, zaś od północy — kurtyną aluminiową systemu „Also” i szymbami antysilowymi, aniżeli zgromadzić polskiej przeciw produkcji regały, niezbędne do wyposażenia tego gmachu. Na początku udało się ściągnąć z Legionowa zaledwie tyle regałów, ile wystarczałoby na dwie i pół kondygnacji — szysze od pełnomocnika dyrekcji Biblioteki Narodowej do spraw budowy nowego obiektu, zastępcy dyrektora — mgr. Henryka Pilarczyka.

Regały nie są jedynym hamulcem, wstrzymującym wyposażenie wnętrza książnicy, gotowej od kilku tygodni. Zabrakło m. in. gwóźdź, wykładzin, a przede wszystkim — kleju do nich. Przedsiębiorstwo „Gamrat-Erg” z Jasła wstrzymało dostawę (a podobno i produkcję) tego kleju, gdyż nie ma niezbędnego komponentu (import nie nadżył kosztowny).



Osobisty nadzór nad pracami budowlanymi na Polu Mokotowskim sprawują prace (na zdjęciu od prawej): pełnomocnik dyrekcji BN do spraw budowy nowego obiektu, zastępca dyrektora mgr Henryk Pilarczyk, główny projektant mgr inż. arch. Stanisław Fijałkowski oraz mgr inż. Mieczysław Śnieciński.



fekty, przy znacznych oszczędnościach. Nie chodzi przy tym o skąpiecie środków. Koszt tej inwestycji i tak — biorąc pod uwagę rosnące ceny materiałów — stale wzrasta i pewnie znacznie przewyższy sumę dwóch miliardów złotych. (Dla porównania: odbudowa i rozbudowa Teatru Wielkiego w Warszawie przed dwudziestą laty kosztowała „tylko” pół miliarda zł). Architekt brał wszędzie pod uwagę możliwość wykorzystania krajowych materiałów (np. marmuru kieleckiego i granitu strzegomskiego we wnętrzach, zaś piaskowce szdłowieckie — na elewację podniwną jedenastokondygnacyjnego magazynu) oraz sprzętu produkcji polskich zakładów poza importem niezbędnym — w minimalnych, jak na całość kosztów — wymiarach ilościowych i wartościowych.

Paradoksem stało się przy tym, że zamówione w firmie belgijskiej urzędzenia do magazynowania zwartego (będzie to jedyny, jak dotychczas, tak nowoczesny system we wszystkich krajach socjalistycznych) już nadchodzą, zaś o krajowych regałach... lepiej nie mówić!

— Cóż po projekcie, coż po oszczędnościach, gdy brakuje niekiedy zwykłej chęci działania — wyrzucają się generalnemu projektantowi słowa uzasadnionej gorzkości. „Bistyp” z Legionowa, producent owych regałów, ma podobno szczerą chęć, lecz oprócz nich — i zapasu błęchy naturalnej — nie rozprowadza całą resztą. A należy do niej przede wszystkim deficytowa farba akrylowa. Inna — nie nadaje się, bo pęka. Chemicy nast nie zdążyli wynaleźć lepszej.

Życie pokazało, że łatwiej było wybudować jedenastokondygnacyjny książnicę niż wyłożyć jej ściany od północy drogim piaskowcem „Włochy” i „Pińczak”, zaś od północy — kurtyną aluminiową systemu „Also” i szymbami antysilowymi, aniżeli zgromadzić polskiej przeciw produkcji regały, niezbędne do wyposażenia tego gmachu. Na początku udało się ściągnąć z Legionowa zaledwie tyle regałów, ile wystarczałoby na dwie i pół kondygnacji — szysze od pełnomocnika dyrekcji Biblioteki Narodowej do spraw budowy nowego obiektu, zastępcy dyrektora — mgr. Henryka Pilarczyka.

Regały nie są jedynym hamulcem, wstrzymującym wyposażenie wnętrza książnicy, gotowej od kilku tygodni. Zabrakło m. in. gwóźdź, wykładzin, a przede wszystkim — kleju do nich. Przedsiębiorstwo „Gamrat-Erg” z Jasła wstrzymało dostawę (a podobno i produkcję) tego kleju, gdyż nie ma niezbędnego komponentu (import nie nadżył kosztowny).

Dyrektor Biblioteki Narodowej, prof. dr hab. Witold Stankiewicz przekazał posłom na niedawnym posiedzeniu sejmowej Komisji Kultury i Sztuki wszechstronna informację o stanie i potrzebach budowy. Po dwóch tygodniach nadeszła z centrali zbytu materiałów budowlanych wiadomość o przydziale dodatkowych 3 tysięcy metrów papy w rolkach.

Książnica — zamknięta na cztery spusty, czeka, aż spełni się — po dostawie kleju, a kiedy, nikt nie wie — założenie projektowe: położę posadzki z „Vinigummu”. A reszta budynków?

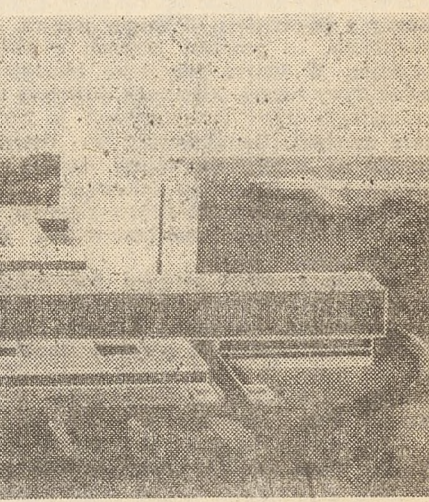
Całość tej budowy inwestor zastępczy — Dyrekcja Budownictwa Ogólnego z Warszawy (inwestorem bezpośrednim jest Biblioteka Narodowa) zleciła... Kieleckiemu Zjednoczeniu Budownictwa Kombinatowi Budowlanemu w Radomiu. Wielkie uznanie należy się radomiakom za to, że — „wrobieni” w tal. prestżowy obiekt przez któregoś z koleł ministra budownictwa — zainicjowali zbyły pokazały, co potrafią. (Warszawscy się poprzekli od tego wymigiwali, bo budowa to o wiele mniej opłacalna od zwykłej „mieszkańków”, a przy tym niepomierne bardziej odpowiedzialna).

Ale przecież z pustego i Salomon... Ściągnięta z Radomia stosobowa załoga (gdyby były materiały, pracowałyby tu o wiele więcej ludzi — stwierdza krótko kierownik tej budowy, mgr inż. Jerzy Przybylski) w brezentowych rekawikach, futajkach i gumiakach nie żałuje sił.

Patrzy, jak montażysta, Gustaw Wresniak, wraz z kilkoma kolegami układa ręcznie ciężkie płyty betonowe nad powstającym właśnie podziemnym garażem. Zabrakło bodaj niewielkiego dźwigu. Gdyby zresztą go wstawić, byłoby kłopoty z napędem.

Z braku paliwa krztusi się transport na tej narodowej budowie. Baza sprzętu — aż w Radomiu. Budowlancy mogą przewozić raz w tygodniu do domu, do rodzin, bazy kombinatu — nie przeniesiesz, oczywiście (zaś „rozładować” w tym przypadku kosztuje siono).

Odpowiedzialne za przyszłość całego obiektu Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego „Budopol” z Warszawy nie stroni od wymuszanych przez życie zmian pierwotnych założeń. Co więcej — „szlab projektowy”, codziennie nadzorujący budowę, szuka — jak może — rozwiązań zastępczych, żeby było taniej, żeby było sprawniej... Zrezygnowano np. z projektowanych wcześniej dróg dojazdowych, gdy okazało się, że funkcjonująca w bezpośrednim sąsiedztwie garażowo-barakowa baza Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania nie ma nic przeciwko temu, aby przez swój teren, utwardzony kosztownymi płytami betonowymi (po półtora tysiąca złotych sztuka), przepuszczać materiałowe zaopatrzenie dla sąsiadki. Życzliwość ta jednak



Makieta zespołu obiektów Biblioteki Narodowej. Twórcy projektu uzyskali w styczniu br. nagrodę „Złotego Sześcianu” przyznaną dorocznie w stolicy za wybitne osiągnięcia architektoniczne.

Po raz pierwszy w świecie w czasach nowożytnych zbiory biblieczne zostały udostępnione publicznie właśnie w Polsce. Bracia Józef i Andrzej Załuscy, przekazując swój księgozbiór społeczeństwu, założyli w 1774 r. bibliotekę, oficjalnie zwaną wówczas publiczną, a dziś określona przez historyków jako narodowa. Idea ta — biblioteczne patrie — wzbudziła rozbiory Polski. Na obczyźnie, dzięki działaczom Wielkiej Emigracji, powstały wówczas książnice: tzw. białostocka (założona w 1843 r. przy Szkole Polskiej w Paryżu) oraz w Rapperswilu w Szwajcarii (1871 r.).

Po odzyskaniu niepodległości rzesznikiem utworzenia Biblioteki Narodowej stał się latami gromadzący zasoby dla tej wielkiej Książnicy — Stefan Demby. Ow wybitny księgarz i bibliotekarz zostawił też pierwszy katalogi ułożone przypisy. Do dziś na przykład zresztą jeden z najstarszych uniwersyteckich w Szwedii — w Uppsali — ma najwięcej bodaj obecnie na świecie, poza Polską, zbiorów druków z edycji Krakowa, Poznań, Gdańsk, Rakowa czy Brześcia.

W okresie rozbiorów wszyscy trzejaborcy do swych bibliotek cesarskich ścigali łupieżczo z ziem polskich przez dziesiątki lat co cenniejsze zabytki słowa drukowanego, jedynie ach część — jak księgozbiór Załuskich — powróciła do kraju po odzyskaniu niepodległości, głównie dzięki traktatowi ryskiemu z 1921 r.

Ostatnia wojna, jak wiadomo, przyniosła całej spuściznie kulturalnej narodu, a więc i polskiej książce, niepowetowane straty. W poręby w różnych miastach obrabiali się zbiory biblieczne, wraz z Warszawą spłonęły dziesiątki tysięcy dzieł o nieoszacowanej wręcz wartości, stanowiących własność bądź publiczną, bądź prywatną. Zniszczeniu uległy m.in. zbiory rapperswilskie — część Biblioteki Narodowej.

Wydobyte później z ruin i piwnie dawne druki i rękopiśm poddano starannym załogom konserwatorskim. Wykonano około stu tysięcy mikrofilmów starodruków i rękopisów, aby służyły nauce.

„Prima inter pares” — czyli „pierwsza wśród równych” jako centralna biblioteka Biblioteka Narodowa — jak podaje jej Zakład Informacji Naukowej gromadzi i udostępnia społeczeństwu pełny zbiór piśmiennictwa polskiego i dotyczącego Polski oraz piśmiennictwo zagraniczne, zwłaszcza publikacje informacyjne i dzieła z zakresu nauk społecznych i humanistycznych. Ponadto — prowadzi działalność wydawniczą z dziedziny bibliografii, bibliotekoznawstwa i historii książki. Jest również centralnym ośrodkiem informacji o książkach i czasopiśmie zagranicznych w innych bibliotekach polskich oraz publikuje wyniki badań nad czytelnictwem w Polsce.

W końcu 1977 r. zbiory Biblioteki Narodowej liczyły ponad 3 310 tys. jednostek w tym około 11 200 tys. rękopisów i 146 000 stron druków. W trzy lata później księgozbiór powiększył się już o ponad 800 tys. pozycji katalogowych. Rok 1981 przyniósł — jak się dziś ocenia — przyrost zbiorów o dalsze około 170 tys. jednostek.

Brak odpowiednich pomieszczeń dla całego zbiorów zmusił kierownictwo Biblioteki Narodowej do rozlokowania rozmaitych zasobów druków, rękopisów, manuskryptów oraz fotografii w czterech miejscach. Centralny magazyn znalazł się aż w Bytomiu, gdzie starano się książki możliwie najlepiej zabezpieczyć.

W trzech pawilonach Warszawy zainteresowanym czytelnikom udostępnia się księgozbiór biblioteki, w tym zbiory specjalne i różnorodne — przy pl. Krasińskich w Pałacu Rzeczypospolitej, grafiki — przy ul. Olskiej, a wydania nowe — w czasowo wyodrębnionym bibliotece, odległym od śródmieścia obiekcie przy ul. Hankiewicza w dzielnicy Ochota. Tam też — w ogrzanej ciśnieciem — pracuje dotychczas kierownictwo Biblioteki i większość jej zespołu naukowego.

— myśleć — nie będzie mogła być na przyszłość odzwierciedlona tolerancja dobrosiedzą. Strach bowiem pomyśleć, czym grozi nowej książnicy parkowanie tuż w pobliżu samochodów do wywożenia śmieci oraz samo istnienie tutaj łatwopalnych baraków (nie mówiąc o żalonym efekcie wizualnym).

Komun jakos ciągle nie zależy, aby nacisnąć pedał gazu. W tej sytuacji wykonawca z Radomia, mimo starań, wiele zdziałać nie może. Uwarunkowania tkwią na zewnątrz. Jak dotychczas, jedynym tomem ulokowanym w nowym obiekcie Biblioteki Narodowej pozostaje... książka jej budowy.

Ale gdyby nadeszły, tak szybko jak z Belgii, te krajowe regały z legionowskiego „Bistypu”, a przedtem — zdążono położyć owe wykłady (do których ciągle nie ma kleju), to wykonawcy — szysze od przedstawicieli załogi z Radomia — nie pożałują rąk, bodaj i nocami. Każdy wie, co znaczy książka, a jeśli mamy kryzys, to ratować trzeba to, co dla kraju najważniejsze.

Można by wówczas już na wiosnę — rozpocząć przeprowadzkę zbiorów. Potwarc ona musi dwa do trzech lat, ale im szybciej się ją zacznie, tym przedziej bezcenne dobro kultury narodowej znajdzie się w odpowiednich warunkach. Przyznany na rok 1982 limit na „przerób” — 80 milionów złotych — jest bez pokrycia materiałowego kłoją.

— Wdźwżni jesteśmy, z całego serca, Związkowi Nauczycielstwa Polskiego, za ubiegłoroczny apel na rzecz naszej placówki. Nie daliśmy się, oczywiście, również temu, że tematem budowy Biblioteki Narodowej zajmuje się teraz „Głos Nauczycielski” — akcentuje kierowniczka Zakładu Informacji Naukowej BN, Mirosława Kocińska. — W naszych skromnych, tak ciałnych pomieszczeniach zdołaliśmy przecieć w ciągu ostatnich lat obsłużyć między innymi tysiące nauczycieli, zwłaszcza stu-

Pierwsza w Polsce Muzeum Książki oraz wielkie informatorium, pracujące w połączeniu z ośrodkiem elektronicznego przetwarzania danych — oba zaplanowane dla Biblioteki Narodowej — stanowiąca pełną nową w krajowym bibliotekoznawstwie. Także inne perspektywy, jakie stwarza jej budowany dla niej obiekt na Polu Mokotowskim, nie dają się porównać nawet z najlepszymi obecnie warunkami kilku innych dużych krajowych placówek bibliotecznych. Łączna kubatura nowego zespołu budynków wznoszonych na obszarze blisko sześciokilometry, wynosi 229 tys. metrów sześciennych, a ich powierzchnia użytkowa — 69 840 m kwadratowych. Choć zaprojektowano pomieszczenia tam 5 milionów tonów, przewiduje się bez trudności — w razie przyszłych potrzeb — zmiany w rozlokowaniu księgozbioru, pozwalające na dodatkowe zmaganowanie i udostępnienie większe — o około 50 proc. — liczby jednostek katalogowych.

Liczba miejsc pracy w nowych pomieszczeniach wyniesie 900. Liczba miejsc w czytelnich sięgnie 1000 (obecnie — jedynie 60). W salach odczytowo-widokowych przewidziano łącznie 780 miejsc.

Poszczególne budynki zespołu wznoszonego dla Biblioteki Narodowej oznaczono roboczo literami alfabety: „A” — budynek udostępniania zbiorów — będzie budowany jednak w ostatniej kolejności. Najwyższy — i największy z uwagi na potrzebę przeprowadki części zbiorów — powstał budynek C — czyli książnicy, kończy się obecnie „B” — budynek opracowania zbiorów, zaś rozpoczęto budowę „D” (warstwowi) oraz „E” — garaży i pomieszczeń technicznych.

Wewnętrzne patia stwarzają dodatkowe miejsca rekreacji. W otoczeniu basenów dekoracyjnych tarasów i rzecz, w ciszy wśród zieleni, wypoczywać będą mogli zarówno pracownicy, jak i białczy biblioteki.

diujących zaocznie. Wielu pedagogom służyli i nadal pragnięmy służyć informacjami bibliotecznymi i pomocą dla bibliotek szkolnych.

Sześćdziesiąt — tylko! — miejsc w czyteln BN. W ciągu roku, wyciekając niezależnie w długich kolejkach, wykorzystuje te miejsca „do oporu” do północy godzin, 50 tysięcy czytelników, zasiadając nad 190 tysiącami książek i czasopism. Pielęgniarska rzesza naukowców rokrocznie pracuje przy kilkunastu tysiącach egzemplarzy starych druków, grafik, kartografii i muzykologii. W małej sali gdzie udostępnia się mikrofilmy ze zbiorów specjalnych, także co roku kilka tysięcy zainteresowanych osób wykorzystuje setki szpul mikrofilmowych, na których utworono najcenniejsze zabytki naszego narodowego piśmiennictwa. Są tam m. in. Ewangeliarz Gnieźnieński z XI w., Psalterz Floriański z XIV w., a także tzw. Teki Naruszevicza, obrzynny zbiór materiałów dotyczących najdawniejszych naszych dzieł. Inaczej byłoby one nam, czytelnikom, niedostępne.

Autor niniejszego także jest jednym z dłużników Biblioteki Narodowej bowiem jej pomocy i jej zbiorom zawdzięcza postęp w swej pracy doktorskiej. Wiem dobrze, że dzieło te zobowiązania z wieloma kolegami nauczycielami z najbliższego nawet terenu, z odległych od stolicy miejscowości, ze szkół wiejskich.

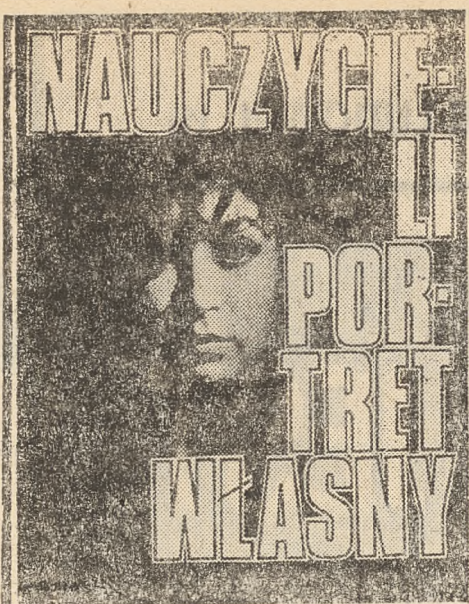
Dłatego, także dlatego, a nie jedynie z ogólnospołecznych, najważniejszych względów, środowiskom nauczycielskim należy na szybszych postępach budowy na Polu Mokotowskim w Warszawie. Apel ubiegłoroczny w tej sprawie jest naszym własnym. I pozostaje aktualny.

Z ostatniej chwili: Polska Agencja Prasowa podaje, iż budowlani otrzymali wreszcie odpowiednie klej i rozpoczęto układanie posadzek w książnicy, zaś w obiekcie opracowywania zbiorów prowadzi się roboty dekarskie i spawalnicze.

Wielu kontynuujemy. Jak na przykład wygląda prawda o trudności pracy nauczycieli, to znaczy o jej złożoności, odpowiedzialności i uciążliwości, na który temat — wciąż jeszcze niedostatecznie zbadany — rozpowszechnione są głównie opinie domniemane, zdrowo-rozważne, powierzchowne, intuicyjne i spekulatywne oraz wyobrażenia emocjonalno-refleksyjne, wynikające przeważnie z autopsji?

Otóż z bardzo interesującego referatu, jaki przedstawił na ten temat w Jabłonie prof. Jan Kordaszewski, wynika, że istnieje duża — znacznie większa niż w przypadku innych profesji — różnorodność pomiędzy tym, co sami nauczyciele myślą o sobie i swojej pracy, a tym, co sadi o nich społeczeństwo. Tak na przykład badania, kierowane przez dyrektora Instytutu Fizjologii Pracy Uniwersytetu w Monachium, prof. dr. med. Wolfa Müllera-Limrotha, wykazały, że wydatek energetyczny przy pracy pedagogicznej jest większy aniżeli na przykład księgowego i kreslarza, zaś podobny do przeciętnego zużycia energii (zawodowej) inżyniera, krawca, kłacza obsługującego automatyczne konso, laboranta. W klasyfikacji międzynarodowej praca nauczyciela zaliczana jest do średniolekkiej.

Z wynikami w tych badaniach korespondował bardzo fragment wystąpienia w Ja-



CD ZE STR. 1

cia szkolnego, w praktyce wychowawczej nie tolerują uczniowskiego sprzeciwu w o-bawie przed utratą „autorytetu” (Zofia Napórkowska).

„Środowiska nauczycielskie reprezentują w swej znacznej większości upodobania i postawy konserwatywne w stosunku do wartości kultury. Jednostronność wykształcenia podlega za sobą niechęć do rzeczy nieznanych i nowych, co wyraża się zwłaszcza w stosunku do zjawisk kultury współczesnej (...) Zachodzi zjawisko niepokojącej rozbieżności między wiedzą na temat przeszłości, choć często niepełną, a całkowitym poczuciem beznadziei w stosunku do tego, co nowe i współczesne” (Irena Wojnar).

„Nauczyciele — kształcenie dłużej i na coraz wyższym poziomie — nie stawiali się przez to lepszymi nauczycielami (...) Przeciwnie, upowszechniali się raczej zimny, techniczny stosunek do pracy...” (Mikołaj Kozłowiec).

Zanotowane na gorące fragmenty wystąpienia:

„Nauczyciele są najczęściej zdolni do „opisu w okrucach”, ale opis w okrucach to już przesłość; musi więc martwić to udrabizgawienie myślenia...”

„Skłonność nauczycieli do manipulacji uczniem jest niepokojąca — czy owa „cho-roba nauczycielska” jest czymś nieuchronnym? Czy nauczyciel jest dziś już w stanie „ześć z katedry”?

„W każdym innym zawodzie nie ma takiej możliwości ukrywania braków i partactwa, jak właśnie w nauczycielskim”.

„Z jednej strony nauczyciele domagają się samodzielności, ale jednocześnie z drugiej — większość chce być kierowana; uporczywie pyta: jak to robić, jak tamtą nowość realizować?”

„Kryzys ideowo-polityczny i moralny obserwowany w całym kraju, wyraźny jest również i w szkolnictwie, gdzie jest szczególnie dotkliwy i szkodliwy. Pogłębia go dezintegracja środowiska nauczycielskiego”.

„Obecna sytuacja również i nas — a nie tylko innych — obrzyni ciężar inercji, konserwizmu, bariery wewnętrzne tkwiące w nas wszystkich...”

No cóż, nie są to opinie zbyt pochlebne. Ponieważ jednak domagamy się zdecydowanie w ostatnich kilkunastu miesiącach w najróżniejszych sferach życia — prawdy i tylko prawdy, znamy ją także (i starajmy się ją w miarę możliwości poznać) o nas mych. I nie uciekamy przed nią, choćby była jak najbardziej odległa od naszych własnych wyobrażeń. Nigdy bowiem nie dobrego z takiej ucieczki z przyzywania oczu na rzeczywistość i ukrywania pewnych jej zakręś — nie wy-nika. Doświadczaliśmy przecież tego szczególnie boleśnie w ostatnich kilkunastu miesiącach i nadal doświadczamy.

Więc kontynuujemy. Jak na przykład wygląda prawda o trudności pracy nauczycieli, to znaczy o jej złożoności, odpowiedzialności i uciążliwości, na który temat — wciąż jeszcze niedostatecznie zbadany — rozpowszechnione są głównie opinie domniemane, zdrowo-rozważne, powierzchowne, intuicyjne i spekulatywne oraz wyobrażenia emocjonalno-refleksyjne, wynikające przeważnie z autopsji?

Otóż z bardzo interesującego referatu, jaki przedstawił na ten temat w Jabłonie prof. Jan Kordaszewski, wynika, że istnieje duża — znacznie większa niż w przypadku innych profesji — różnorodność pomiędzy tym, co sami nauczyciele myślą o sobie i swojej pracy, a tym, co sadi o nich społeczeństwo. Tak na przykład badania, kierowane przez dyrektora Instytutu Fizjologii Pracy Uniwersytetu w Monachium, prof. dr. med. Wolfa Müllera-Limrotha, wykazały, że wydatek energetyczny przy pracy pedagogicznej jest większy aniżeli na przykład księgowego i kreslarza, zaś podobny do przeciętnego zużycia energii (zawodowej) inżyniera, krawca, kłacza obsługującego automatyczne konso, laboranta. W klasyfikacji międzynarodowej praca nauczyciela zaliczana jest do średniolekkiej.

Z wynikami w tych badaniach korespondował bardzo fragment wystąpienia w Ja-

blonnie znanego nauczyciela i publicysty, Stanisława Bortnowskiego, który między innymi stwierdził: „Praca w zawodzie nauczycielskim nigdy mnie nie męczyła. Nie uznawałem jej ani za dopust, ani za morderę. Ani mi na myśl nie przyszło, że jestem związany z zawodem (jak to określił jeden z nauczycieli), „którego ciężar gatunkowy jest równorzędnym z najbardziej odpowiedzialnymi i eksploatacyjnymi organizmami zawodami rodu ludzkiego”.

I kolejna, godna uwagi, choć dotycząca już innej kwestii, wypowiedź — również nauczyciela-polonisty i dziennikarza zarazem, Zbigniewa Wołynki: „Kiedy wchodzi do klasy i nie wiem, co mnie w niej czeka, jakie ktoś z moich uczniów może skierować do mnie pytanie, jaki problem okaże się nagle za trudny, co autentycznie zaciekać i pozwoli — jak w reakcji lańcuchowej — zainteresować następnych problemami — to przeżywam emocje poszukiwacza przgód. Tym cenniejszych, że intelektualnych (...). Potrzeba ciągłego stawiania pytań i rewidowania każdego uznania, co wcześniej pewnika, towarzyszyła mi przez wszystkie dni moich spotkań z II”.

W świetle tego, jakie optymistyczne w swej wymowie, wyznania, trudno nie przyznać — choćby częściowo — racji przekonanemu, że w gruncie rzeczy nauczyciel w swej pracy jest niezwykle suwerenny — lekce prowadzi przecież w osobistym kontakcie z uczniami, praktycznie w 99 procentach bez udziału wizytatorów czy hospitatorów.

Więc, być może, iż za często i za chętnie rozgłaszamy samych siebie za wszelkie niedostatk i niepowodzenia wychowawcze, przypisując całą winę innym: rodzicom, władzom, środowisku — całej rzeczywistości zewnętrznej. Naturalnie, bardzo skomplikowane to sprawy — ale czy nie spoglądane na nie czasami — to prawda, że zaszywać przy najlepszej woli i z przekonaniem o pełnym obiektywizmie — zbyt jednostronnie?

Właśnie w tym widzę wagę i znaczenie konferencji zorganizowanej przez Komitet Badań i Prognoz „Polska 2000”, że podejmujemy najważniejsze problemy polskiej oświaty, położyla szczególny akcent na powiedzmy to otwarcie — niezbyt popularną w naszych kręgach sprawę, że mianowicie, że naprawa szkolnictwa musi się rozpocząć od naprawy samych nauczycieli. Ze droga doskonalenia polskiej edukacji wiedzie przede wszystkim przez wrócenie rangi godności i powołaniu nauczyciela, co w równym stopniu zależy od konkretnej rzeczywistości, jak i od nich samych. Ze jednym ze źródeł zaś, jakie się dokonało w oświacie i wychowaniu, była dezintegracja środowiska nauczycielskiego — akademickiego, szkolnego, administracji oświatowej — i zanik w nim kultury partnerskiej.

Oczywiście, w niniejszej relacji mogłam przedstawić tylko niewielką część problemów podjętych w Jabłonie, gdzie w okresie, gdy uwaga niemal całego środowiska nauczycielskiego w kraju była skoncentrowana na kwestiach socjalno-bytowych związanych z Kartą, powiedziano zdecydowanie, że rezygnacja z reformy oświatowej (w jakim kształcie — to już inna sprawa) oznacza a zarazem — że będzie po prostu się cofać — taka jest bowiem obiektywna wymowa owego faktu.

I gdzie przypominało rzecz bardzo oczywista, ale w ostatnim czasie, gdy żyje się nam tak niesłychanie trudno i gdy w ferworze walki o poprawę bytu pedagogów jakby trochę zapomniana, że mianowicie, że wychowanie to pomaganie w stawianiu się człowiekiem — magda inspiracja, animacja i przewodnictwo.

Ze czasu, w których żyjemy — przede wszystkim procesy, jakie zachodzą w naszym kraju, ale również nowe strategie edukacyjne — przypomnę tylko głosy raportu „Uczyć się, aby być” — wymagają po prostu nowego nauczyciela.

Oczywiście, problem to należytego kształcenia i przygotowania pedagogów, mądrej i sensownej pomocy udzielanej im przy ustawicznym doskonaleniu, wielu innych czynników. W znacznym jednak stopniu to przecież także — a być może: przede wszystkim — kwestia tego, czy i na ile dzisiejszy nauczyciel, zarówno pracujący w szkole, jak i akademicki, potrafi, chce, spojrzeć wnikliwie w lustro — i na ile obraz, jaki w nim ujrzy, skłoni go do niełatwych, ale niezbędnych korekt.

A jakie jest zdanie Kolegów na ten temat? Czy podzielać przedstawione tu o opinie i refleksje? Redakcja nasza byłaby wielce rada, gdybyście zechcieli uzupełnić — a może skorygować lub też narysować nieco inną kreskę, bądź też odmienną techniką — ów nauczycielski portret, właściwie autopoetret? Będzie to zresztą nawiązanie do prowadzonej w ubiegłym roku na naszych łamach dyskusji pt. „Spór o nauczyciela”.

HENRYKA WITALEWSKA

JAKA JEST PRAWDA

Uchwalenie przez Sejm PRL 26 stycznia 1982 roku Karty Nauczyciela to niewątpliwie jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach oświaty w Polsce Ludowej. Podniesienie rangi społecznej zawodu nauczycielskiego — a taki cel przyświecał twórcom, jaki przynosi Karta — stanowił podstawowy czynnik w walce o zapewnienie polskiej oświacie warunków dalszego rozwoju, usunięcia głównych źródeł jej słabości, jakie występowały w ostatnich latach.

Dobrze się stało, że walka ta prowadzona przez organizacje nauczycielskie, głównie przez ZNP, znalazła pełne zrozumienie władz naszego państwa i mimo niesłychanie trudnej sytuacji gospodarczej i społeczno-politycznej — zakończyła się powodzeniem.

Trzeba jednak pamiętać, że w czasie tej walki, prowadzonej z ogromnym nasileniem zwłaszcza po sierpniu 1980 roku obok słusznych żądań, postulatów, opartych na prawdziwych faktach, obiektywnych opiniach i ocenach — formułowane były także opinie i oceny fałszywe, niezgodne z prawdą, często wręcz demagogiczne. Kwestionowano w nich cały dorobek polskiego szkolnictwa w latach powojennych, nie dostrzegano w nim żadnych pozytywnych przeobrażeń, oceniano tylko negatywnie wpływ wychowawczy szkoły na kształtowanie świadomości i postaw ideowo-moralnych młodych pokoleń.

Podobne zresztą tendencje występowały w wielu przemówieniach, licznych artykułach, rozprawach, rezolucjach — odnoszących się do innych dziedzin naszego życia. Była to działalność nie tylko szkodliwa, podważająca sens istnienia państwa socjalistycznego — ale równocześnie godząca w najbardziej ofiarnych pracowników i ich godność zawodową. Kwestionując wszelki dorobek polskiej oświaty, obrażano tym samym pamięć najlepszych pokoleń nauczycielskich, które o głodzie i chłodzie odbudowywały z powojennych ruin system oświatowy.

„Głos Nauczycielski” od pierwszego, powojennego numeru, który ukazał się z datą 1 czerwca 1945 roku — pisał o nich systematycznie, przedstawiał ich trud i pracę, domagał się zapewnienia im właściwych warunków egzystencji, podkreślał ich rolę w budowie socjalistycznego społeczeństwa. Zajrzyjmy do roczników — od 1945 roku aż do ostatnich numerów przed ogłoszeniem stanu wojennego. Również i dzisiaj nie możemy milczeć, nie możemy przejść obojętnie wobec kłamliwych, aroganckich sądów i opinii o dorobku polskiej szkoły.

Pragniemy przypomnieć w kilku artykułach drogi rozwojowe oświaty w Polsce Ludowej, wskazać na najważniejsze fakty i wydarzenia, przedstawić niektóre liczby, zestawienia. Czynimy to głównie z myślą o młodszych generacjach nauczycielskich, dla większości których — zwłaszcza pierwsze powojenne lata — to już historia. Ale jest to historia nasza, historia polska i historia nauczycielska.

ZADANIE PIERWSZE — WYRÓWNAĆ KRZYWDY

Bardzo często cytujemy dziś słowa mądrego kanclerza, Jana Zamojskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich synów chowanie”. Ale z prawdy tej wypływa i druga prawda: „Takie jest chowanie młodzieży, jakie są Rzeczypospolite”.

Kiedy w 1944 roku na pierwszych wyzwolonych terenach rodziła się Polska Ludowa, kiedy następnie w styczniu 1945 ro-

ku w wyniku gigantycznej ofensywy wojsk marszałków Rokossowskiego, Żukowa, Konięwa wyzwolone zostały ziemie polskie na zachód od Wisły — przed władzami nowego państwa polskiego stanął niezwykle ważny i trudny problem odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych, także w dziedzinie oświaty. Aby uświadomić sobie ogrom tych zniszczeń, wystarczy wspomnieć, że majątek szkolny, a więc budynki, sprzęt, pomoce naukowe były zniszczone w około 60 proc., księgozbiory — w 90 proc., kadra nauczycielska, szczególnie ta najbardziej wartościowa, społecznie zaangażowana — była w olbrzymiej większości zlikwidowana przez hitlerowców. Dodać trzeba, że w tym czasie wśród ludności dorosłej było ponad 3 mln analfabetów. Kraj był przy tym straszliwie zniszczony: w gruzach leżała Warszawa, setki wsi i miast, brak było chleba, odzieży.

Jaki w tej sytuacji wprowadzać system oświatowy; czy według wzorów przedwojennych, czy innych, opracowanych w czasie okupacji? Na jaki system stać nową, biedną i zniszczoną Polskę?

Rząd emigracyjny w Londynie, w którym funkcję ministra oświaty pełnił ksiądz Zygmunt Kaczyński, opierał swój program oświatowy na strukturze szkolnictwa ustalonej ustawą z 11 marca 1932 roku (Ustawa Jędrzejewicza). Wprowadzała ona podział szkolnictwa powszechnego na trzy stopnie. Pełnowartościowymi szkołami powszechnymi, z najwyższą klasą VII były tylko szkoły III stopnia. Szkoły I stopnia — z 7-letnią nauką, lecz z najwyższą klasą tylko czwartą — obejmowały około połowy dzieci chłopskich. Rząd emigracyjny przewidywał, że bezpłatność nauczania miała być utrzymana tylko na poziomie szkoły powszechnej, a w szkołach średnich „w miarę możliwości”.

Władze PKWN, w których funkcję kierownika resortu oświaty pełnił dr Stanisław Skrzyszewski, przyjęły inną koncepcję. Za najpilniejsze zadanie uznano uruchomienie od 1 września 1944 roku na wyzwolonych terenach wszystkich szkół powszechnych i średnich. 1 sierpnia 1944 roku St. Skrzyszewski ogłosił „Wezwanie do polskiego nauczycielstwa”, w którym apelował do wszystkich nauczycieli o natychmiastowe zgłaszanie się do rad narodowych i podjęcie prac przygotowawczych, w celu rozpoczęcia od 1 września nauki.

Następnie w „Wytycznych organizacji szkół powszechnych w roku szkolnym 1944/45 z 12 września” polecił sukcesywne likwidowanie wprowadzonego ustawą z 1932 roku podziału szkoły powszechnej na trzy stopnie. Chodziło bowiem o jak najszybsze usunięcie opóźnienia młodzieży chłopskiej. Był to pierwszy krok inaugurujący zasadniczą przebudowę ustroju szkolnictwa.

Apel kierownika resortu podjęli ocaleni z hitlerowskiego pogromu nauczyciele — mimo występujących wśród nich wielu wąhań natury politycznej. Nauczyciele rozumeli, że ich miejsce w tych przełomowych dniach jest w szkole, przy dzieciach i młodzieży. Dokonywano zapisów do szkół, kompletowano meble i pomoce naukowe, zbierano książki i podręczniki. Pierwsze remonty przeprowadzane były rękami nauczycieli i uczniów — nie pytano, jaka będzie pensja i kto ją będzie płacił. 1 września 1944 roku na wyzwolonych terenach rozpoczęto naukę w szkołach.

Rewolucyjne przemiany, jakie dokonywane były w organizacji władz, życia społecznego i gospodarczego, w stosunkach politycznych z innymi państwami — musiały znaleźć odzwierciedlenie w systemie o-

światy i wychowania. Istniała konieczność przeprowadzenia gruntownych zmian w organizacji i treściach programowych szkolnictwa, których celem miało być otwarcie na oścież wrót wszystkich szkół dla młodzieży robotniczej i chłopskiej, oparcie treści nauczania i wychowania na podstawach naukowych, wyznaczenie celów wychowania odpowiadających potrzebom państwa ludowego.

Prace w tym zakresie podjęły władze szkolne i Zarząd Główny ZNP — z chwilą wyzwolenia spod hitlerowskiego panowania całości ziem polskich.

W dniach od 18 do 20 czerwca 1945 roku odbył się w Łodzi Ogólnopolski Zjazd Oświatowy, w którym wzięło udział 556 osób. Po wielu dyskusjach przyjęta została jednomyślnie rezolucja, w której stwierdzono, że system oświatowy w Polsce powinien być oparty na zasadach: powszechności, bezpłatności, obowiązkowości na szczeblu podstawowym i jednolitości. Zjazd nawiązywał zatem do chlubnych tradycji Sejmu Nauczycielskiego z 1919 roku. Podstawą systemu oświatowego miała być 8-letnia, obowiązkowa i jednolita (bez podziału na stopnie) szkoła podstawowa. Na niej powinny być oparte szkoły średnie ogólnokształcące — których czas trwania zostanie ustalony w czasie późniejszym — oraz szkoły zawodowe.



Wraz z uruchamianiem pierwszych szkół organizowano w nich dożywianie uczniów. Fot. Archiwum

Młodzież nie ucząca się w szkołach, pracująca, jak również niepracująca w wieku do 18 lat, powinna być objęta obowiązkiem kształcenia zawodowego.

Uchwały Zjazdu Łódzkiego stanowiły zamknięcie gigantycznej pracy — wykonanej u progu Polski Ludowej — pracy, w której przedstawione zostały perspektywy rozwoju polskiej oświaty, tworzenia nowego, w pełni demokratycznego systemu edukacji narodowej.

W TRUDZIE I WALCE

Realizacja tych postanowień nie była łatwa. Do trudności natury materialnej dołączały trudności polityczne, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne.

Trzeba pamiętać, że w tym czasie trwała ostra walka polityczna z siłami reakcji i podziemia. Według ówczesnych obliczeń podziemie zbrojne liczyło pod koniec 1945 roku około 150 tys. osób. Działalo ono głównie w województwach: białostockim, lubelskim, rzeszowskim, warszawskim i kieleckim. Były powiaty, zwłaszcza w południowej Polsce, całkowicie opanowane przez bandy ukraińskie UPA. W 1945 roku zamordowano lub uprowadzono 8463 osoby, rannono 1167 — większość z nich to członkowie PPR, funkcjonariusze MO i organów bezpieczeństwa oraz działacze PPS, SL, SD, a także wielu nauczycieli. Ta sytuacja polityczna silnie oddziaływała na młodzież szkolną, zwłaszcza przemoślną. Były przypadki — wcale nierzadkie — uczestniczenia grup młodzieży w różnych podziemnych organizacjach, w niektórych szkołach pojawiały się ulotki i pisemka o treściach antypaństwowych.

Istniały także naciski i presje zewnętrzne. Rząd Wielkiej Brytanii odłożył termin powrotu do kraju Polskich Sił Zbrojnych do czasu wybrerów, mając nadzieję, że powstanie nowy rząd związany politycznie z mocarstwami zachodnimi. Również do tego czasu odłożono zwrot wywiezionego z kraju w 1939 roku złota i innych skarbów na-

rodowych. W początkach maja 1946 roku rząd USA postanowił wstrzymać przyznane Polsce miesiąc wcześniej kredyty: 40 milionów dolarów na inwestycje i 50 mln dolarów na zakup demobilu. Mocarstwa zachodnie zaatakowały też ustalone w Poczdamie polskie granice na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Pierwszy uczynił to W. Churchill w przemówieniu wygłoszonym 5 marca 1946 roku w Fulton, a następnie minister spraw zagranicznych USA — J. Byrnes, w przemówieniu wygłoszonym 6 września 1946 roku w Stuttgarcie. Rządy Wielkiej Brytanii i USA zażądały przedłożenia im ordynacji wyborczej, grożąc przy tym wycofaniem swego uznania dla Rządu Jedności Narodowej.

W takich warunkach przystępowaliśmy do olbrzymiego dzieła odbudowy ze zniszczeń wojennych gospodarki narodowej, zasiedlania i zagospodarowania ziem zachodnich i północnych. Mogliśmy w tym dziele liczyć tylko na patriotyzm ludzi pracy, na pomoc Związku Radzieckiego. Anulował on wszelkie zadłużenia i zobowiązania finansowe Polski z tytułu wojny, udzielił długoterminowego kredytu na potrzeby handlu zagranicznego, zwiększył dostawy zboża dla pokrycia niedoborów aprowizacyjnych.

Historia naszego narodu mówi nam, że

siły polityczne reprezentujące postępowy i demokratyczny program społeczny włączyły zawsze realizację tego programu z upowszechnieniem oświaty. Ta prawda historyczna znajduje swoje potwierdzenie w działalności władz ludowych w pierwszych powojennych latach. Oto kolejny przykład.

Jak podawaliśmy wyżej, w spadku po zaborcach, po rządach sanacyjnych i po prawie 6-letniej okupacji hitlerowskiej otrzymaliśmy ponad 3 miliony analfabetów, władze Polski Ludowej zdawały sobie sprawę, że z analfabetami nie da się zrealizować wizji nowej Polski. Dlatego równocześnie z odbudową zniszczonych miast, fabryk, uruchamianiem nowych zakładów pracy — mimo ogromnych trudności i braków materialnych — podjęto wielkie dzieło: likwidacji zmory analfabetyzmu.

7 kwietnia 1949 roku Sejm uchwalił ustawę, w myśl której analfabetyzm miał być zlikwidowany do końca 1951 roku. Ustawa przewidywała społeczny obowiązek uczenia się analfabetów i półanalfabetów w wieku od 14 do 50 lat. Realizację ustawy rozpoczęto od rejestracji analfabetów. Uzyskano imienny wykaz 1,5 mln osób zobowiązanych do uczenia się na kursach.

W społecznej służbie wielkiej pracy nad likwidacją analfabetyzmu wzięli udział przede wszystkim nauczyciele: 52 015 pedagogów, głównie ze szkół podstawowych i poza tym 26 058 studentów, uczniów liceów pedagogicznych, harcerzy, członków ZMP. Zorganizowano 60 069 kursów dla analfabetów, około 200 tys. osób uczęło się indywidualnie. Wydano w nakładzie 1250 tys. egzemplarzy — elementarz dla dorosłych pt. „Start” oraz w nakładzie 600 tys. czytanki „Na trasie”, dla tych, którzy już elementarz opanowali.

21 grudnia 1951 roku pełnomocnik rządu do walki z analfabetyzmem zameldował, że analfabetyzm w Polsce, jako zjawisko społeczne, został zlikwidowany. Była to bez wątpienia jedna z największych w naszych dziejach akcji oświatowych.

SZKOŁA W SPOŁECZNYM WŁADANIU

CD ZE STR. 1

Raz jeden wystarczy przejechać tą drogą, a już ma się naprawdę dosyć. Wertepy i wyboje, błocko jesienne, a zimą — zasy. Gruntowy, nie utwardzony trakt wije się polami, po których hula wiatr.

Co dzień posyłano tu ciągnik z przyczepą, w której tłoczył się musiał dzieciaki z Dąbrowy — Nowej Wsi, by dojeżdżać na lekcje czy to do Dąbrowy Wielkiej, czy to do Czyżewa — siedziby gminy. Tamtejsza „zbiorcza” też przeładowana. Traktorysta kłął, o spóźnieniach do szkoły — nie ma co i wspominać.

W całym województwie łomżyńskim takich traktów i takich po nich wędrówek zobaczyć można jeszcze teraz sporo. Cóż więc dziwnego, że w niejednej tutejszej wsi panuje przekonanie, iż pomysł powołania gminnych szkół zbiorczych, choć uzasadniony podniesieniem poziomu kształcenia dzieci, okazywał się — w konfrontacji z surowym życiem — idea „na wyrost”. Zgłoszono w tym województwie 109 wniosków o reaktywowanie mniejszych szkół, kuratorium uwzględniło na razie połowę.

— Tworząc „zbiorcze”, często przedwcześnie, bez należytych po temu warunków, nieraz zrywaliśmy, niestety, najcenniejsze więzi szkoły z jej macierzystym środowiskiem wiejskim. Lokalne sentymenty niewielkich nawet gromadzkich społeczności wobec „własnej” placówki oświatowej zasługują, zwłaszcza teraz, w dobie kryzysu, na podtrzymanie — stwierdza wicekurator Bolesław Podobiński.

— Teraz, w lutym stanęliśmy np. wobec groźby częściowego braku paliwa dla kilkudziesięciu osinobusów i jeliczy, które, jako własność zbiorczych szkół gminnych, dowożą co dzień uczniów na lekcje. Dzięki interwencji wicewojewody łomżyńskiego Stanisława Ciupę w białostockiej Centrali Produktów Naftowych, spodziewamy się przynajmniej doraźnie uzyskać przydział etyliny, umożliwiający utrzymanie w ruchu szkolnych środków lokomocji. Jednak nie zwalnia to kuratorium od troski o dalszą przyszłość. Wszelkie zatem rozwiązania organizacyjne, służące ograniczeniu dojazdów, jak reaktywowanie szkół wiejskich, obecnie — choć nadal wypowiadam się za ideą „zbiorczości” — uważam za szczególnie godne poparcia.

— Gdy po Sierpniu zaczęło się w Dąbrowie — Nowej Wsi z żalem mówić, że stoi pusty budynek szkolny, który przed laty wybudowany został z własnych składek, niemalym trudem, a naszym dzieciom do odległych miejscowości dojeżdżać na naukę coraz trudniej, pierwszy zwróciłem się w tej sprawie do naczelnika gminy w Czyżewie — opowiada obecny przewodniczący tutejszego komitetu rodzicielskiego, Stanisław Janczewski rolnik, gospodarujący na blisko trzydziestu hektarach, ojciec ośmioletniego Ryszarda, drugoklasisty.

Przodujących gospodarzy nie zbywa się w gminie czyżewskiej byle czym. Miejscowy naczelnik poprosił zatem o złożenie podania na piśmie — z podpisami innych rodziców — gdyż, jak podkreślił, stanowić to może decydujący argument w jego pertraktacjach z łomżyńskim kuratorium. Takie podanie złożono w grudniu 1980 roku i bardzo szybko, tej samej zimy, nadeszła odpowiedź. Pozytywna.

— Nie mogłem tego wniosku nie popierać — zaznaczył Bohdan Piech, naczelnik gminy Czyżew, jakby usprawiedliwiając swoje wystąpienie do kuratorium (którego przedstawiciel, w randze starszego wizytatora, obecny był — podczas jesiennej inspekcji — przy naszej rozmowie). Zresztą... co tu mówić, jak to bywa u nas w zwyczajach, razem z mieszkańcami gminy w zimie 1980 r. poszedłem parę razy odśnieżać drogę do Dąbrowy Wielkiej — z Nowej Wsi właśnie. Przekonało mnie to ostatecznie, że rodzice mają stuprocentową słuszość, domagając się szkoły u siebie, na miejscu.

— Przy tym w podaniu nie ograniczyliśmy do wniosku — żądania. Mieszkańcy z Dąbrowy — Nowej Wsi zadeklarowali bowiem, iż bezzwłocznie opodatkują się dodatkowo na rzecz „swojej” placówki oświatowej. Jestem przekonana, iż wszędzie warto popierać inicjatywy, które rodzą się po tak gruntownym jak tam przemysłowemu sytuacji. Zima obecna nie dokuczyła nam wprawdzie zbyt, drogę do Nowej Wsi odśnieżać wypadło raz tylko, ale i tak przydała się ta wskrzeszona szkoła — ocenia zastępująca teraz naczelnika gminy (przebywającego na urlopie zdrowotnym)

sekretarz czyżewskiego Urzędu Gminnego — Jadwiga Pietrzak.

— Czy zresztą w ogóle można tu mówić o wskrzeszeniu szkoły? Powstała przecież teraz, jak nowo narodzona, placówka, której każdy mógłby sobie życzyć — notuje opinię gminnego dyrektora szkół w Czyżewie, Andrzeja Bańkowskiego. Z pewnością nie przesadza on w komplementach.

— Każdy może sobie życzyć takiej placówki — powtórzy mi potem matematyczka mgr Teresa Rozborowska, która dla Dąbrowy — Nowej Wsi zrezygnowała z posady w Zbiorczej Szkole Gminnej w Czyżewie. W obecnym miejscu pracy ma lepsze warunki nauczania (mniejsza liczba uczniów w klasach) no i... mieszkanie, jak wymarzone, wygodne, na które nie mogła liczyć poprzednio.

Inni — a wszyscy pięćoro są tu nowi — nauczyciele „nowo narodzonej” też nie mają powodu do narzekania na warunki mieszkaniowe. Czy mamy w kraju wielu gospodarzy gotowych — jak tutaj — wynajmować pedagogom, jeszcze bliżej nieznanym we wsi, własne wygodne (z łazienkami, nie mówiąc o elektryczności) niedawno zbudowane domy? Czy, jak w Dąbrowie — Nowej Wsi, znajdzie się wszędzie w chłopskim środowisku tyle zrozumienia dla specyfiki pracy nauczycielskiej, która wyklucza na przykład możliwość wystawiania w kolejkach i która wymaga skoncentrowania się na szkole, a nie — przydomowym gospodarstwie?

Wystarczyło jedno cichutkie słowo jakże przy nas — przybyłych tego dnia do Dąbrowy — Nowej Wsi — padło na zebraniu miejscowego komitetu rodzicielskiego z ust młodej tutejszej nauczycielki, słowo skargi na kłopoty z zaopatrzeniem, a natychmiast mogliśmy usłyszeć:

— Zajmiemy się tym, każdy ze swego gospodarstwa zadbać może przecież, by nauczyciel naszej szkoły mógł, co mu najpilniej potrzeba, kupić na święta i na zwykły dzień roboczy.

Można oczekiwać, że nie będą to żadne obietnice bez pokrycia, bo podjętych wobec „swojej” szkoły zobowiązań dąbrowsko-nowowiejscy rolnicy przestrzegali i przestrzegają honorowo. Skrzyżowały się tu najlepsze pod tym względem tradycje rodowe szlacheckich zaścianków i chłopskich, idące z pokolenia w pokolenie przekonanie, że dla nauki, oświaty niczego skąpieć nie można, bo ona „w świat szeroki z chaty wyprowadza”, jak pisał ludowy poeta. W zamian mieszkańcy oczekują: „nie o nas bez nas”. Niech o szkole stanowi cała społeczność gromadzka!

Organizatorem różnych — nie tylko pieniężnych — świadczeń wsi na rzecz nowo narodzonej placówki i katalizatorem sensownych wobec niej wymagań stał się lokalny, spontanicznie zawiązany i głosowniem zatwierdzony komitet, który od nowego roku szkolnego przyjął nazwę „rodzicielski”. Nie jest on — zaznaczam od razu — typowy, podobny do innych, gdyż zasiadają w nim nie tylko rodzice i dziadkowie uczniów, ale wszyscy, którzy czynem wyrazili już poprzednio zainteresowanie dla spraw szkoły.

Toż o to właśnie wszędzie dziś chodzi! I tak mamy oddolnie zrodzoną społeczną radę oświaty, tutaj roboczo komitetem rodzicielskim zwaną. I takich właśnie rad, nie sterowanych odgórnie, przez władze czy związki zawodowe, trzeba nam w okresie odnowy. Tej radzie nie o „władzę” nad szkołą chodzi, czy nad nauczycielami, nie o wtrącanie się do programów i praktyki dydaktycznej, lub oceny uczniów, lecz o mądre, samorządne współdziałanie przedstawicieli lokalnej społeczności z gronem pedagogicznym — i to na każdym odcinku. Od dbałości o wyrównywanie postępów słabszych uczniów, po zaopatrzenie klas i sklepiu szkolnego! Od kąta w domu na odrabianie lekcji — po lektury — na przykład. O to zaczęto dbać w Dąbrowie — Nowej Wsi.

Dąbrowsko-nowowiejscy gospodarze, zawiązawszy najautentyczniejszą pod słońcem społeczną radę oświaty, nie znaleźli jeszcze adekwatnej dla niej nazwy. Komitet rodzicielski? Jak go zwał, tak go zwał, można by machnąć ręką na szyld, byleby funkcja była zgodna z duchem czasu.

Ale nazwa wiąże jednak zarazem ze statusem komitetów rodzicielskich, więc przedłużanie tej przestarzałej formuły stanowczo odradzamy, skoro z treścią mamy do czynienia tak nowo narodzoną, jak sama szkoła.

W rozmowie z kilkunastoosobową grupą tutejszych działaczy oświatowych (na takie określenie członkowie komitetu rodzicielskiego w pełni sobie już zasłużyli), zaproponowałem więc:

— Przedstawcie na planowanej kolejnej sesji Gminnej Rady Narodowej w Czyżewie wniosek o formalne ukonstytuowanie, poprzedzonej już demokratycznym wyborem, waszej wiejskiej społecznej rady oświaty. Będzie ona pierwszą w kraju? Tym lepiej, ktoś musi przecież być pierwszy, a wcale nie trzeba zaczynać od „najwyższego szczebla”. Poparcie ze strony organu przedstawicielskiego nada dodatkową rangę temu wypróbowanemu już samorządowi, a redakcja „Głosu Nauczycielskiego”, jak wiem, będzie chciała waszym doświadczeniom towarzyszyć w codziennym kontakcie i upowszechniać je na łamach tygodnika.

— Byłoby to na pewno niegorsze — orzekła z namysłem sędziwy Franciszek Szepletowski, rencista, niegdyś rolnik dziesięciohektarowy. — Sam, będąc niegdyś radnym, jeszcze powiatowej rady narodowej, przemysliwałem o tym, jakby szerszy aktyw z naszej wsi organizacyjnie związać ze szkołą, trwale. Klimatu na to ani politycznego, ani społecznego jeszcze wtedy nie było, ale teraz...

Projekty — niestety, niezrealizowane — tego seniora, ludowca z przekonania i ofiarnej pracy społecznej, zrodziły się w latach pięćdziesiątych na gruncie przygotowań do budowy w Dąbrowie — Nowej Wsi takiej placówki oświatowej, którą tutejsi działacze wyśnili sobie jako „szkołę tysiąclecia”. Bo jeszcze przed wojną istniała tu szkoła, zniszczona później przez okupanta. Bo właśnie w domu u Szepletowskich prowadzono w czasie okupacji tajne nauczanie chłopskich dzieci. Bo zaraz po wyzwoleniu wieś dała — jak jeden mąż — składki na nowy budynek szkolny.

— Cóż, kiedy pomysł tysiąclecia dla naszych dzieci „ukradli” wtedy w powiecie — wspominają dąbrowsko-nowowiejscy przyjaciele szkoły. — Chcieliśmy kulturę u nas rozszerzyć, skończyło się na niewielkim budynku, a i ten opustoszał, gdy powołano zbiorczą szkołę gminną.

— No, niezupełnie zionął pustką — protestuje młodsza dąbrowianka, Danuta Kore — harcerze, do nas czasem przyjeżdżali z Czyżewa i mieli wówczas bazę na biwak... Wspólnie dbało się, by obiekt nie niszczał.

— Co to za wykorzystanie budynku, gdy tymczasem dzieci od nas, jak śledzie w beczce, jechały przyczepą ciągnikową do innej szkoły! — protestuje zaraz Eugeniusz Godlewski, także członek „komitetu rodzicielskiego”. — Dlatego, gdyśmy ów podatek na nowe narodziny naszej placówki uchwalili, nie było takiego, który by się z wpłatą wstrzymywał. Dawali ludzie od hektara, ile było trzeba, nawet tacy, którzy w ogóle dzieci nie mieli.

A Stanisław Sielicki, mieszkaniec wsi Szymanki, dodaje: — Jeszcze na tym nie koniec. Ubiegamy się teraz o odstąpienie nam owej już niepotrzebnej przyczepy, bo dla dowozu tutaj kilkorga dzieciaków szymankowskich przyda się ona, jak znalazł. Dotychczas chodzą piechotą, godzinę drogi. Rozmawialiśmy o tym z dyrektorem, wiele spraw już zdążył od września załatwić, więc myślę, że i z tą mu dobrze pójdzie. Zresztą — ma nas wszystkich po swojej stronie.

Młody, pełen zapału i dobrych chęci, reprezentuje to, co często — nie najładniej — określano jako „siłę przebiecia” w gminie. Zdobył — przebojem — zaufanie mieszkańców całej okolicy. Znaczny to kredyt zobowiązujący.

Przyszli do tej wsi z żoną, także nauczycielką (pani Lidia prowadzi lekcje języka polskiego oraz ognisko przedszkolne). Wykorzystał kontakty ze Studium Nauczania Początkowego, by zachęcić do przejścia tutaj jej absolwentki. Czy żałują tej decyzji? Skądże! Za wygodne mieszkania u rolników płaci szkoła. Praca — miła. Otoczenie — sympatyczne. Interesuje się wynikami nauczania, a to pedagogów mobilizuje.

— Nieprawda, że wieś odległa od gminy, bez dobrej drogi musi być zaraz „zabita deskami”. Ludzie są tu światli, serdeczni dla nas, otwarci, to ważne. A droga? Też będzie, mówią, że powstanie tak jak szkoła, społecznie — podkreśla nowy dyrektor. — Liczę na dalsze poparcie naczelnika gminy, daisze, bo już teraz wiele

mu zawdzięczamy, między innymi cały zapas opału. Mogę być spokojny o zimę. Wągiel dotarł do nas jeszcze we wrześniu.

Przyglądali się tym dyrektorskim i naczelnikowskim staraniom uważni, bo już wcześniej raz zawiedzeni rolnicy.

— Przyjechał kandydat na dyrektora do nas jeszcze w maju, poprzednio nas nie znając i wsi naszej na oczy nie widząc — opowiada barwnie Stanisław Godlewski (brat Eugeniusza; obaj oni — z woli wsi — znaleźli się w „komitecie rodzicielskim”).

— Tom sobie pomyślał, skoro on nam ufa i przyszłość swoją w nasze ręce składa, to i my mu zaufać musimy! I okazało to po naszymu, po dąbrowiecko-nowowiejsku.

Inni działacze uzupełniają:

— Nie żądano od nas, by wieś dyrektora zatwierdziła, ani rady pedagogicznej wtedy też nie było, bośmy ani jednego nauczyciela przecież nie mieli. Ale powiedzieliśmy swoje i gminnemu dyrektorowi szkół, i naczelnikowi gminy: tego człowieka chcemy...

— ... bo widać, że chce coś zdziałać. O programie sam z własnej woli z nami mówił.

— Nie poprzestaliśmy na tym, że kandydatowi dobrze z oczu patrzyło. Posłuchać przyjemnie, jak ktoś się z autorytetem gromady liczy. No i... pogadało się z ludźmi. Niejedna szkoła u siebie remont doroczny, wiemy, aż po zimę przeciągać musi, u nas szybko poszło. Rzemieślnicy z Wysokiego Mazowieckiego budynek opucowali na czas, przed otwarciem szkoły, ale też zawsze ktoś ze wsi, mimo zniw, tej roboty doglądał.

Gminny dyrektor szkół zauważył tu trochę przekornie:

— Nie popuścili. Do tego stopnia trzeba było zaangażować fundusze gminne, że popadłem w dług wobec Spółdzielni Wielobranżowej z Wysokiego Mazowieckiego za ten remont, ponadplanowy, bo nikt w gminie tak szybkich przygotowań do otwarcia szkoły w Dąbrowie — Nowej Wsi pierwotnie nie przewidywał. Ale uznanie im się należy; rodzice i sami co starsi uczniowie myli po remoncie podłogi i okna, przenosili sprzęt. Teraz komitet rodzicielski wnioskuje przyspieszenie budowy drogi, też w czynie społecznym, przy jednoczesnym dobrowolnym opodatkowaniu się gospodarstw.

— Nie żał się trudzić, bo przedtem, gdy patrzyliśmy na pustą szkołę, serce bolało; gdzie nasza praca, po co było tyle grosza poświęcać! Przecież po wojnie i własne spalone domy trzeba było od podstaw odbudować, tym bardziej ceniliśmy każdy wydatek na oświatę. A jeszcze i drzewa owocowe posadziliśmy dla nauczycieli, które do dziś w sadku rosną i owocują — przypomina Stanisław Kozłowski, jeden ze starszych założycieli szkoły. Zaś Władysław Ezman dodaje: — Ojcowie nasi kiedyś plac pod tę szkołę ofiarowali, nie chcemy być inni: zadbalimy o wykorzystanie budynku, a ja — choć dzieci nie mam — cieszę się ze szkoły, bo rada jej cała moja rodzinna.

Lucyna i Zygmunt Kotylowscy, których dwójka dzieci: Piotrus w piątej klasie, Jarek w „zerówce” (czyli ognisku przedszkolnym) korzysta z nowej placówki, przyłączają się do tych wyrazów radości. — Nie ma co, wdzięczni jesteśmy kuratorowi łomżyńskiemu, że wyraził zgodę na otwarcie u nas szkoły (bo wiemy, że dzieci jest tylko kilkadziesiąt, a zatem mniej niż wynika z przepisów). Uwzględnił jednak, to również wiemy, racje społeczne, a te przemawiały przecież za Dąbrową — Nową Wsią najgłośniejszą.

★

Dawno po lekcjach, za oknem zapada zmierzch. Niezmiernie gościnnie, bez oglądania się na żadne wymówki przybyłych, co charakterystyczna jest cechą tych stron, podejmowani w jednym z wiejskich domów przez miejscową społeczność, słuchamy życzeń, by pozostała stała bliska wieś szkoły w Dąbrowie — Nowej Wsi z rodzinami jej uczniów! Wiemy już dobrze, że wieś ta zapowiada się jako wcale nie odświętna, lecz naprawdę codzienna. Dzięki pracy i ofiarności mieszkańców tej wsi.

JANUSZ TRZCIANKA

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

Wracamy do wymiany poglądów o samorządności. Tematu zainicjowanego artykułami doc. Antoniego Smolańskiego oraz redakcyjną dyskusją, której stenogram opublikowaliśmy w 44 numerze „Głosu Nauczycielskiego” w roku 1981.

SAMORZĄDNOŚCI TRZEBA SIĘ UCZYĆ

Redakcyjną dyskusję o samorządności zamieszczoną w końcu ub. r. w „Głosie” przeczytałam z wielką uwagą i sądzę, że nie tylko temat winien zainteresować wszystkich nauczycieli, ale problem, jak być samemu samorządnym i to samorządowanie realizować w szkole.

Słowo: samorządność, stało się najbardziej popularne, obiegowe, często niewłaściwie pojmowane przez wielu. Teoretyczne rozważania często rozciągają się o praktykę, bo sporo ludzi nie rozumie lub nie chce rozumieć, że samorządność rzadko bywa cechą ludzkiego charakteru, tym bardziej u nas, gdy długie lata stwarzały szczególnie nieprzydatny grunt do jej rozwoju.

Samorządność jest w modzie, więc upominają się o nią wszyscy i wszędzie, od przedszkolaków, począwszy, a na klubach i kołach zasłużonych rencistów i emerytów kończąc. A więc silni w tej jednostce, chcemy, aby dana nam była możliwość „być samorządnym”, a samorządność stała się dobrem uniwersalnym — powszechnym i społecznym. Traktuje się ją bowiem tak panaceum na wszystkie dotkliwe bolączki naszego życia — na przester centralizmu, na wyjątkowość szkoły i społeczeństwa, na biurokrację i kasowizm, na klikowości i nierówności społeczne, na sterowanie ludźmi, arogancję lub pasywność władzy, na brak partnerstwa między grupami społecznymi. Można by tak wymieniać w nieskończoność. To wszystko jest jasne, ale oczywiste stanie się wtedy (i dla wszystkich), gdy będziemy mówić znacznie częściej o „ciężarze samorządności”, o tym, że trzeba jej się uczyć, że trzeba po prostu i w pełni wychowywać człowieka samorządnego w domu rodzinnym, w szkole, w społeczeństwie.

Proces to długi i skomplikowany, o czym wspomniała w koncepcji „szkoły samorządowej” docent dr A. Smolański i inni dyskutanci za stołu redakcyjnego.

Łatwiej bowiem powstają (i będą powstawać choćby w przedsiębiorstwach) instytucjonalne formy samorządu, trudniej, i to znacznie, wypełnić je właściwą treścią i działaniem.

W oświacie jesteśmy również surowi, nie przygotowani do prawdziwej samorządności, trzeba do niej dorastać z dnia na dzień — ale czy wszyscy chcą tego „dorastania”? O wielu aspektach szkoły samorządnej przekonujemy się teraz, gdy szereg dawnych ram ograniczających nasze działania runęło. I oto wielu ludzi nie umie się znaleźć w nowych warunkach, nie potrafi wcielić w życie tego, czego żądali wcześniej, o czym mówią teraz, co postulują. Ten dziwny regres zauważalny jest szczególnie w pracy samorządu uczniowskiego, w organizacji harcerskiej. Ale i wychowawcy, nauczyciele (naturalnie niektórzy) nie są od tego wolni. Brakuje nam inwencji, samodzielności, dyscypliny i samokrytyki. Brakuje często konsekwencji w działaniu, odpowiedzialności i umiejętności myślenia kategoriami nie jednostki, lecz społeczeństwa.

Dawny system dyrektywny przy wszystkich swoich wadach miał też jedną zaletę: zwalniał jednostkę od myślenia, odpowiedzialności i w ogóle samorządności działań. To weszło głęboko w krwioobiegi naszego społeczeństwa i zauważalne jest dzisiaj już teraz, w roku 1980, przy doświadczeniach z roku 1980, przy grupach nauki dr. Stefana Witka. Duże są grupy nauczycieli, wychowawców, których zaangażowanie i identyfikacja z celami szkoły,

młodzieży jest znikoma, którzy nie chcą być współgospodarzami, mieć więcej uprawnień.

Dlatego zgadzam się przede wszystkim z tymi, którzy w redakcyjnej dyskusji stwierdzili, że proces wyzwalania umysłów, proces usamorządzenia szkoły musi zacząć się od nauczycieli (wszystkich szczebli), od elementarnego podniesienia ich wiedzy, samodzielności i świadomości, od podniesienia ich etyki i kultury pedagogicznej! Dziwi mnie, dlaczego w dyskusji redakcyjnej nie padło słowo kultura pedagogiczna i w ogóle dlaczego prawie nic ostatnio o niej nie piszemy lub tak mało? A właśnie elementy kultury pedagogicznej są zarazem zasadniczymi elementami usamorządzenia szkoły i wprowadzenia autentycznego postępu pedagogicznego, o którym tak wiele rozważaliśmy w poprzednich latach.

Zagubiliśmy na przestrzeni lat wiele z elementów kultury pedagogicznej, choć nikt nam tego nie kazał, nie zabraniał upowszechniać. Dobre programy upowszechniania kultury pedagogicznej, tak potrzebne i zbliżone z właściwym modelem wychowania socjalistycznego, czasem (może?) nie dotarli do szkół, częścię zaś leżały gdzieś zakurzone w szafach bibliotecznych, tezekach dyrektorskich czy nauczycielskich, nieprzypadnie, zagubione, bo jakże mało pedagogów zna je, żyje nimi i wciela w życie. Czytelniczo prasy pedagogicznej wśród nauczycieli, niestety, też kuleje i tu nie potrzeba nawet badań.

Może dlatego warto w dyskusji o samorządności przypomnieć główne zadania kultury pedagogicznej, a wśród nich te najważniejsze: odpowiedzialność za młode pokolenie, przejawiające się w aktywnym stosunku do wszelkich spraw dzieci i młodzieży związanych z przygotowaniem ich i wprowadzeniem do życia społecznego; propagowanie właściwych postaw, norm i wzorców moralnych; odporność na wpływy wzorów niegodzących z celami wychowania i współpracy socjalistycznego, walka z nimi; uznawanie zasady życzliwego partnerstwa, poszanowania godności dziecka, człowieka; respektowanie prawa dzieci i młodzieży do osobistych przeżyć, odmiennych przekonań, poglądów, samodzielnej zdobywania wiedzy, doświadczenia, własnej hierarchii norm wartości, postaw, zachowań.

To nie tylko szkoła, jako instytucja sformalizowana, wyjątkowa i ujemna młode umysły. To często czyniliśmy my sami, nadgorliwie, robiąc rzeczy złe. Na przykład przez wiele lat w wielu szkołach nie wprowadzono przedmiotu przysposobienia do życia w rodzinie tylko dlatego, że nie było chętnych nauczycieli, takich, którzy chcieliby się sami uczyć, dokształcać, wyjść poza ciasne ramy schematyzmu i rutyny swego przedmiotu, szukać partnerstwa z młodymi, wejść w ich świat. A flu polowało ten specyficzny, interdyscyplinarny przedmiot na obie kopki, bo nie chciało im się szukać trudnej drogi do samorządności, która w tych spotkaniach z młodzieżą była im w pełni dana! Czy zechcą dzisiaj szukać (naturalnie nie tylko w tym przedmiocie) tej własnej drogi, drogi własnej oraz drogi młodzieży i tej najważniejszej wspólnej, wyrażającej się w obopólnym dialogu i działaniu?

W dyskusji redakcyjnej padł też głos, że partnerstwo już nie wystarczy, że trzeba teraz przejść już na wyższy etap służenia człowiekowi. Piękna teoria, ja sama, jako wychowawca i stary instruktor harcerski, a także działacz ruchu korekcyjnego, chce zawsze służyć człowiekowi i popierać bode te idee w działaniu. Ale nie przeszkadzały mi kolejne szczeble drabiny, aby z niej nie spaść znów na dno. Nie za bardzo dojrzałem jeszcze do partnerstwa, nie dojrzała do niego jeszcze młodzież. Nauczmy się tego wszyscy w pełni, poprzez partnerstwo służymy właśnie człowiekowi. Z autentycznego partnerstwa przejść można do autentycznej służby człowiekowi, ale wobec dziesiętniej zniechęci, agresji, egoizmu, ewanctwa i braku bezinteresowności, to daleka droga. Ie cech pozytywnych łącznie z umiłowaniem swojej pracy i własną chęcią służenia dziecku, trzeba wykształcić i wytworzyć w sobie?

Nie szukajmy też zbyt wielkich innowacji, nie stwarzajmy nowych pseudoteorii. Sięgnijmy czasem do zapomnianych działań. To weszło głęboko w krwioobiegi naszego społeczeństwa i zauważalne jest dzisiaj już teraz, w roku 1980, przy doświadczeniach z roku 1980, przy grupach nauki dr. Stefana Witka. Duże są grupy nauczycieli, wychowawców, których zaangażowanie i identyfikacja z celami szkoły,

WOLNE SOBOTY - NOWY PROBLEM PEDAGOGICZNY

Kiedy rodziła się idea sobót wolnych od zajęć dydaktycznych — która stała się faktem dokonany od 1 września — byłem zdecydowanym jej przeciwnikiem. Wychodziłem z założenia, że pięciodniowy tydzień zajęć dydaktycznych spowoduje: przeciążenie nauką uczniów wszystkich klas, a zwłaszcza I—III; zwiększenie zmianowości; utrudnienia w organizacji dowożenia i opieki nad dowożonymi uczniami; częściową lub całkowitą rezygnację z zajęć pozalekcyjnych i pracy organizacji szkolnych; osłabienie stanu gotowości intelektualnej uczniów w dni sąsiadujące z dniami wolnymi. Są to, oczywiście, niektóre tylko mankamenty skróconego tygodnia zajęć lekcyjnych.

Decyzja jednak zapadła. Podjęta została — jak wiadomo — pod dużym naciskiem społecznym. Skoro więc mamy szkoły bez sobót, to należy zastanowić się nad sensownym i atrakcyjnym programem pracy dydaktyczno-wychowawczej w ten dzień.

Czy postulat dotyczący otwartych szkół należy uznać za zasadniczy? Niewątpliwie — tak. Czy jest możliwy do urzeczywistnienia w aktualnej sytuacji? Przede wszystkim pojawia się pytanie: kto ma sprawować pieczę nad dziećmi i młodzieżą?

Nauczycieli nie można zobowiązać do prowadzenia zajęć pozalekcyjnych, takich jak: kółka zainteresowań i inne. Aby móc ich pozyskać do tego, należałoby zapewnić im odpowiednie rekompensaty.

Edukacja dzieci i młodzieży nie może być wyłączną domeną szkoły. Powinna ona być w centrum zainteresowania szerokiego społecznego frontu wychowawczego. Pierwzoplanową rolę w nim winni odgrywać rodzice. I właśnie poprzez komitet rodzicielski, przy współpracy z komitetem opiekuńczym, należałoby zapewnić opiekę nad uczniami, którzy będą przychodzić do szkoły w wolne dni.

Wśród rodziców są znakomici specjaliści z różnych dziedzin, którzy z powodzeniem mogliby wystąpić w roli instruktorów w zakresie takich specjalności jak: fotografia, elektronika, introligatorstwo, nauka gry na instrumentach muzycznych, hafciarstwo, krawiectwo itd. Czy jednak zechcieliby wziąć na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo uczniów? Czy byłoby to możliwe bez udziału nauczycieli? Jakże obojętnym byłoby zasady organizacyjno-merytoryczne? Są to pytania, na które można i należy dać zasadne odpowiedzi w programie, stanowiącym integralną część rocznego planu pracy szkoły.

Rozległe możliwości otwierała się dla inicjatyw Związku Harcerskiego Polskiego. Pora więc stosowna na uczynienie sobót dniami aktywnej działalności drużyn harcerskich i zuchowych. ZHP ma okazję stać się autentycznym współpartnerem szkoły w systemie wychowania młodego pokolenia Polaków. Musi jednak skutecznie czerpać z bogatej tradycji obrzędowości harcerskiej, nie zatracając swej ideowości.

Znów rodzi się pytanie: jak pozyskać do tej działalności nauczycieli opiekujących się drużynami harcerskimi? Widzielibyśmy zupełnie proste rozwiązanie, a mianowicie: zezwolić na dwie godziny niższej zajęć dydaktycznych nauczycielom podejmującym się obowiązków prowadzenia drużyn harcerskich i zuchowych. Wiem, że znajdują się oponenti tych zdążeń, że powyższa propozycja pogłębiłaby deficyt kadrowy i spowoduje wzrost wydatków z funduszu osobowego plac. Co jednak ważniejsze: pieniądze, deficyt kadrowy, który jest i będzie, czy dobro dziecka?

Do programu zagospodarowania wolnych sobót trzeba też włączyć pozaszkolne placówki kulturalne — oświatowe: domy kultury, biblioteki publiczne, kina, a także świetlice zakładowe. By mogły one spełniać rolę środowisk wychowawczych, zapewniając uczniom opiekę należytą, godziwą rozrywkę, atrakcyjną zabawę i rozwój zainteresowań, ich działalność powinna być zintegrowana ze wspomnianym rocznym planem pracy szkoły.

Nie we wszystkich środowiskach uda się zorganizować atrakcyjne soboty; będzie to trudne zwłaszcza na wsi. Dzieci wiejskie są na jesieni i wiosnę wykorzystywane do

pracy w gospodarstwach rolnych. Jedyną zimą będzie istniała potrzeba zorganizowania im zajęć w owe dni.

Natomiast w miastach nie powinno być żadnych problemów. Potrzebę otwartych szkół należy uważać za bezdyskusyjną. A to dlatego, że obowiązkiem szkoły oraz wszystkich ludzi odpowiedzialnych za los młodego pokolenia jest uchronienie go od niepożądanych wpływów wychowawczych i zagwarantowanie mu bezpieczeństwa. Uczniowie nie mogą bezcelowo spędzać wolnego czasu. W wychowaniu nie może być żadnej pustki, a taką lukę spełniałyby niezagospodarowane soboty. Jest to jeden z podstawowych argumentów — według mego zdania — przemawiający za koncepcją otwartych szkół.

Jak na razie jednak poza dywagacją o szkołach tętniących życiem w soboty, niczego konkretnego nie uczyniono. Baczmy więc, abyśmy nie musieli za jakiś czas obwiniać kogoś i siebie za jeszcze jeden nieudany eksperyment. Przystąpmy więc do realnych działań. Wszelkie zapowiedzi o konieczności obserwacji funkcjonowania szkół i placówek oświatowo-wychowawczych w systemie 5-dniowego tygodnia zajęć dydaktycznych na nie się zdadza, jeśli nie stworzy się odpowiednich warunków organizacyjnych i materialnych dla właściwej realizacji problemu pedagogicznego, jakim są wolne soboty.

Zdaje sobie sprawę z tego, że moje rozważania nie wyczerpują zagadnienia, z którym mamy do czynienia od niedawna, bo dopiero od początku bieżącego roku szkolnego. Wymaga ono gruntownej analizy, rzetelnych studiów i konkretnych przedsięwzięć organizacyjno-merytorycznych.

STANISŁAW SZCZERBA
Dąbrowa Białostocka

A JEDNAK PRYMUSI

Z zainteresowaniem czytałem opublikowaną w nr. 46 „Głosu” relację z dyskusji pt. „Kogo przyjąć na studia?” Zadaniem zgromadzonych przy stole redakcyjnym było przynajmniej naszkicowanie nowego, lepszego systemu rekrutacji. Trzeba jednak stwierdzić, iż zaproszeni do dyskusji, tego zadania, niestety, nie wykonali. Wprawdzie wszyscy byli jednogłośnie przeciwni punktowi preferencyjnym, wszyscy też byli zgodni, co do tego, że na studia muszą być przyjmowani najlepsi, ale to przecież jeszcze nie system. Nie padły bowiem w ogóle odpowiedzi na pytania tak podstawowe: w jaki sposób ułatwić dostęp do studiów młodzieży robotniczo-chłopskiej, kończącej szkoły na wsi i w małych miasteczkach, jak zapewnić równe szanse młodzieży ze wszystkich okolic kraju i ze wszystkich środowisk, a nie jedynie synom i córkom inteligencji i to głównie z dużych miast, co zrobić, żeby sito rekrutacyjne nie gubiło diamentów i „Janków Muzykantów” itp. A przede wszystkim — co zrobić, żeby w warunkach samorządności uczelni wszystkie powyższe pytania-postulaty nie zostały przez nie zignorowane?

Jak wiadomo, dotychczasowy system rekrutacji młodzieży jest u nas bardzo skomplikowany. Stosuje się w nim komputery, maszyny liczące, testy egzaminacyjne, różne formularze i kwestionariusze, średnie ocen z klasy maturalnej i opinie szkoły, egzamin pisemny i ustny, rozmowy kwalifikacyjne, punkty preferencyjne itd. itd. A mimo to nie budzi on jakiegoś zaufania i to nie tylko u młodzieży i rodziców. Przeciwnie — rodzi coraz większą podejrzliwość o różne tajemnice, zakamufłowane manipulacje i kombinacje. Co gorsza — korzyści ze stosowania tej „magii” są prawie żadne. Świadczy o tym i odpad w czasie studiów, i sprawność studiów, i jakże liczne, rażące pomyłki w wyborze kierunków studiów itp. Dzieje się to u nas w czasie, kiedy już w wielu innych krajach podstawą przyjęcia na studia jest po prostu świadectwo ukończenia szkoły.

A zatem — na pytanie postawione przez redakcję „Głosu” — kogo przyjąć na studia? — odpowiadam: przede wszystkim prymusów szkół średnich skierowanych przez rady pedagogiczne. Jestem bowiem przekonany, że tylko taki system rekrutacji może zapewnić jednakowe szanse doświadczenia się na studiach najlepszym absolwentom ze wszystkich szkół w kraju i bardziej prawidłowy skład socjalny młodzieży. W przeciwnym razie nie warto być prymusem w szkole, a z kolei i przodować w pracy po opuszczeniu szkoły...

KAZIMIERZ SZYLEJKO
Olsztyn

turzystów (prymusów) przez rady pedagogiczne szkół. Trudno bowiem zaprzeczyć, iż tylko szkolne rady pedagogiczne są w stanie najtrafniej orzec, kto z ich maturzystów jest najlepszy i że tylko dzięki takiemu systemowi naboru kandydaci będą się rekrutowali równomiernie ze wszystkich okolic kraju, z różnych środowisk i z bardzo różnych szkół.

Niestety, w roku bieżącym, jak wiadomo, Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki odebrało prymusom prawo wstępu na studia bez egzaminów. Co więcej — odebrało i nie podało powodów tej decyzji. A chciałoby się wiedzieć, czym jest motywowana niechęć resortu do młodzieży wytypowanej przez rady pedagogiczne? Chciałoby się też wiedzieć, czy decyzja tego resortu była uzgadniana z Ministerstwem Oświaty i Wychowania i jakie zajęło ono w tej sprawie stanowisko.

Krają jedynie różne poglądy. Mówi się np., że szkoła szkole nierówna, że poziom szkół średnich jest wciąż jeszcze zróżnicowany. Istotnie, nie sposób upierać się przy twierdzeniu, że wszystkie szkoły średnie są jednakowo dobre. Zresztą i poziom szkół wyższych również jest i chyba zawsze będzie wielce zróżnicowany. Ale, jak wiadomo, że różne pod względem poziomem szkolny średnie i wyższe, wydają jednak świadectwa i dyplomy przyznające ich posiadaczom jednakowe uprawnienia w życiu, pracy, placach itp. Jak dotąd bowiem ani w szkołach średnich, ani wyższych, nie wydaje się świadectw pierwszej, drugiej i trzeciej kategorii. Wszystkie one są, jak banknoty, jednakowo wartościowymi dokumentami państwowymi, toteż wszędzie i przez wszystkich są i muszą być honorowane.

Dziwny to zarzut: szkoła szkole nierówna. Przecież na studia idzie nie szkoła, lecz najlepszy jej uczeń. A poza tym za nierówność poziomów nauczania w szkołach nie mogą ponosić konsekwencji ich absolwenci. Zresztą nikt jeszcze nie udowodnił, że kandydaci wyselekcjonowani przez komisje uczelniane są lepsi od wytypowanych przez szkolne rady pedagogiczne. Przeciwnie, jak wykazały badania, egzamin wstępny, przeprowadzane przez uczelniane komisje egzaminacyjne, a zachowaniem uroczystego i przynajmniej naszkicowanie nowego, lepszego systemu rekrutacji. Trzeba jednak stwierdzić, iż zaproszeni do dyskusji, tego zadania, niestety, nie wykonali. Wprawdzie wszyscy byli jednogłośnie przeciwni punktowi preferencyjnym, wszyscy też byli zgodni, co do tego, że na studia muszą być przyjmowani najlepsi, ale to przecież jeszcze nie system. Nie padły bowiem w ogóle odpowiedzi na pytania tak podstawowe: w jaki sposób ułatwić dostęp do studiów młodzieży robotniczo-chłopskiej, kończącej szkoły na wsi i w małych miasteczkach, jak zapewnić równe szanse młodzieży ze wszystkich okolic kraju i ze wszystkich środowisk, a nie jedynie synom i córkom inteligencji i to głównie z dużych miast, co zrobić, żeby sito rekrutacyjne nie gubiło diamentów i „Janków Muzykantów” itp. A przede wszystkim — co zrobić, żeby w warunkach samorządności uczelni wszystkie powyższe pytania-postulaty nie zostały przez nie zignorowane?

I dlatego myśle, iż resort szkolnictwa wyższego powinien zrewidować swoją decyzję w sprawie prymusów. Miast pozabawiać ich przyznanych im praw, trzeba raczej jeszcze bardziej rozwinąć system kierowania kandydatów na studia przez szkolne rady pedagogiczne i nawet w ilości proporcjonalnej do liczby klas maturalnych w każdej szkole. Trzeba raczej pomyśleć o doskonaleniu metod ich typowania na przykład przez dopuszczenie do udziału w radach pedagogicznych tzw. czynnika społecznego — przedstawicieli komitetów rodzicielskich, samorządu szkolnego itp.

Oczywiście, należy się spodziewać, iż obecnie samorządne uczelnie (każda w swoim zakresie) będą wypracowywały swoje własne systemy rekrutacji i mogą się nie zgodzić na przyjmowanie prymusów bez egzaminu. Otóż, moim zdaniem, należy uczynić wszystko, by szkoły wyższe, nie zamykały drzwi przed młodzieżą skierowaną przez rady pedagogiczne. Więcej nawet — żeby otoczyły tę młodzież szczególną troskliwą opieką, a samą formę tak pomyślanej częściowego naboru, potraktowały jako rokujący nadzieje eksperyment.

Przy sposobności warto tu chyba dodać, że uczelnia samorządna nie jest wcale uczelnia państwową, finansowaną przez społeczeństwo. Toteż choćby już z tego tytułu ma ona obowiązek pełnienia roli służebnej wobec utrzymującego ją społeczeństwa, a w tym i kształcenia skierowanej do niej młodzieży. I to kształcenia tym lepsze, im większą cieszy się samorządnością...

A zatem — na pytanie postawione przez redakcję „Głosu” — kogo przyjąć na studia? — odpowiadam: przede wszystkim prymusów szkół średnich skierowanych przez rady pedagogiczne. Jestem bowiem przekonany, że tylko taki system rekrutacji może zapewnić jednakowe szanse doświadczenia się na studiach najlepszym absolwentom ze wszystkich szkół w kraju i bardziej prawidłowy skład socjalny młodzieży. W przeciwnym razie nie warto być prymusem w szkole, a z kolei i przodować w pracy po opuszczeniu szkoły...



Fot. Cz. Górski

PRZEDSZKOLE W WILLI AMBASADORA

CD ZE STR. 12

okna zostaną założone odpowiednie zabezpieczenia.

Wraz z obiektem mali gospodarze otrzymali pełne wyposażenie kuchni, w której obok ładnych debowych szafek stojących i wiszących znajduje się jeszcze duża lodówka, kuchnia elektryczna i maszynka do zmywania naczyń. Cennym dodatkami jest także pralka automatyczna i pianino.

Dzięki zrozumieniu i życzliwości wielu instytucji wyjątkowo szybko udało się zgromadzić podstawowy sprzęt. Pierwsze zabawki przekazane przez inne placówki czekały na dzieci już w dniu otwarcia. Oprócz tego, każdy z przedszkolnych przyniósł własną zabawkę między innymi po to, by w nowym środowisku nie czuł się tak zupełnie obco. Dla zdecydowanej większości było to pierwsze w życiu przedszkole, rekrutacja bowiem została przeprowadzona wśród dzieci, które z braku miejsc nie zostały nigdzie zakwalifikowane.

Halina Kosicka — młoda, energiczna, pełna ciekawych pomysłów dyrektorka — do urządzenia obiektu podeszła z takim zapałem, jakby to było jej własne, długo oczekiwane mieszkanko. Z tym większą energią zabrała się do tego, że niekonwencjonalnie zaprojektowaną willa nastręczała w pierwszej chwili sporo kłopotów.

To, że budynek jest niezbyt wielki, to nawet dobrze — zwierza się dzisiaj. — Łatwiej o stworzenie klimatu zbliżonego do domowego. Nawet nie przypuszczałam, że uda nam się tak funkcjonalnie wykorzystać te „living-roomy” i zagospodarować tę nieopisaną ilość kąteków, różnych zakamarków, szaf i szafeczek tak, aby dzieci czuły się nie tylko wygodnie, ale i były bezpieczne. Ciągłe jeszcze trwa okres zakupu niezbędnych rzeczy. Myślę, że niedługo uporamy się z tym, a w niedalekiej przyszłości będzie można pomyśleć również o urządzeniu wygodnej i tak niezbędnej dla nas kuchni w garażu sąsiadującym z budynkiem. Na pewno będzie nam to dobre, a już dziś, mimo że nie wszystko jest „dopracowane”, dzieci są zadowolone, zaś rodzice też, bo ich pociechy znalazły nie tylko właściwą opiekę, lecz i bardzo dobre warunki.

Zadowoleni są także pracownicy wydziału oświaty. Bo trzeba pamiętać, że warszawska dzielnica Mokotów znajduje się w wyjątkowo trudnej sytuacji; na początku roku szkolnego zabrakło tu miejsca w przedszkolach dla 2 tysiące dzieci! Część najbardziej potrzebujących „upchnięto” wiece w tutejszych placówkach, zwiększając tym samym do czterdziestu liczbę w poszczególnych oddziałach. Każda więc nowo uruchomiona placówka, to o ileś tam nawzrost mniej na długiej liście oczekujących na wolne miejsca w przedszkolu.

Nie wszystkie propozycje są tak szczęśliwe jak willa byłego ambasadora. Ostatnio WSS przekazał na cele przedszkolne pawilon sklepowy. Wprawdzie czterystymetrowa powierzchnia to duży walor, jednak koszty związane z adaptacją są poważnym mankamentem. Gdyby tak ofiarodawca, obok miłego gestu mógł jeszcze podjąć się niezbędnych przeróbek, oczywiście, na odpowiednich warunkach, to odzew na hasło pomocy dla oświaty, byłby bardziej realny. Można by też pójść za ciosem i zmieścić plany nowo wznoszonego, okazałego budynku przy ulicy Puławskiej, tuż obok osiedli Domaniwskiego, Służew nad Dolinką i Ursynów, a przeznaczając na kawiarnię. Zważywszy na skalę potrzeb, ta pierwsza z pewnością świadczą będzie pustkami, a przedszkole ma zapewnić frekwencję. W miarę zmniejszania się zapotrzebowania na tego typu placówki zawsze można owemu budynkowi przywrócić jego pierwotną funkcję.

Konieczność powstawania w tej części dzielnicy Warszawy kolejnych przedszkoli, mimo iż od września do stycznia wiele zrobiono, a od marca przybędą jeszcze obiekty na Stęgnach i Bernardyńskiej, jest w dalszym ciągu ogromna. Brak około piętnastu placówek, bo liczba oczekujących — z uwagi na wciąż przybywające nowe domy — stale wzrasta i obecnie wynosi około tysiąca dzieci.

BARBARA KOBIAŁKO

PYTAJ - ODPOWIEMY

KIEDY BĘDĄ PRZEPISY WYKONAWCZE?

■ Tak więc otrzymaliśmy nową Kartę Nauczyciela i wielkie dzięki dla redakcji, że już w pierwszym numerze po wznowieniu działalności, opublikowała pełny tekst ustawy. Chciałbym jednak zapytać, kiedy ukaza się przepisy wykonawcze do Karty, doświadczenia bowiem w tym zakresie nie były — jak dotychczas — budujące.

Krzysztof Napórkowski
Wrocław

O odpowiedzi na to pytanie zwróciłem się do Tadeusza Nowaka — członka zespołu roboczego do spraw Karty Nauczyciela ZG ZNP.

■ Ustawa z dnia 26 stycznia 1982 roku — zwana Kartą Nauczyciela — zawiera 32 delegacje do wydania odpowiednich przepisów wykonawczych. Z tej liczby przypada dla: Rady Państwa i akt wykonawczych, Rady Ministrów — 6, Prezesa Rady Ministrów — 1, Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej — 3, Ministra Pracy, Płac i Spraw Socjalnych — 1, Porozumienia Wykonawczych zostało przypisanych Ministrowi Oświaty i Wychowania, w tym większą w porozumieniu z innymi resortami. Wykazaną wyżej liczbę przepisów wykonawczych uważa należy jako rzeczywistą niezbędną, chociaż pozornie jest ich dużo. W ustawie znalazło się bowiem szereg specyficznych uregulowań prawnych, co wymaga również dodatkowych aktów wykonawczych.

Z posiadanych informacji wynika, że prace nad projektami aktów wykonawczych do Karty prowadzone są z dużym przyspieszeniem. Pośpiech ten jest w pełni uzasadniony, ponieważ szereg postanowień Karty obowiązują już od 1 września 1981 roku, inne zaś obowiązują od 1 stycznia 1982 roku.

Stosownie do art. 4 ust. 2 Karty przepisy wykonawcze „...podlegają uzgodnieniu ze związkami zawodowymi zrzeszającymi nauczycieli oraz przedstawieniu komisjom sejmowym przed ich wydaniem”. Z uwagi jednak na zawieszenie statutowej działalności związków zawodowych (wraz z ogłoszeniem stanu wojennego w kraju) zapowiedziane akty wykonawcze są opracowywane bez ich udziału.

Na podkreślenie zasługuje treść postanowień art. 4 ust. 4 ust. 2 Karty, w myśl którego wszystkie rozporządzenia, uchwały i zarządzenia (dotyczące przepisów wykonawczych) podlegają zgładowi ze strony właściwych komisji sejmowych. Dale to gwarantuje zachowanie zgodności treści aktów wykonawczych z intencją poszczególnych zapisów w Karcie.

Kolejna kwestia, równie ważna, są terminy wejścia w życie postanowień Karty i związane z nimi terminy ogłoszenia przepisów wykonawczych. Powyższe reguluje jednoznacznie treść art. 101 ust. 2 Karty, który stanowi m. in., że wydanie przepisów wykonawczych przewidzianych w ustawie winno nastąpić nie później niż do dnia 31 lipca 1982 r. W tym też okresie obowiązują będą przepisy dotychczasowe ze zmianami wynikającymi z postanowień obecnej Karty. Zapis cytowany wyżej daje ustawową gwarancję, że nie powtórzą się fakty z przeszłości dotyczące odkładania w nieskończoność wydania niektórych przepisów wykonawczych.

Wydaje się w pełni zasadne podkreślenie, że szereg świadczeń wymienionych w Karcie ma być obowiązująca od 1 września 1981 r., inne natomiast (jest ich ogółem 10) wchodzić będą w życie w okresie najbliższych 2 lat. Najpóźniej, bo od 1 stycznia 1984 r., przewidziana jest realizacja uprawnień zawartych w art. 8 Karty dotyczących możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę. O takim kształcie zapisu zdecydowała niekorzystna sytuacja kadrowa w szkolnictwie, zwłaszcza na wsi, gdzie występuje największe braki kwalifikowanej kadry nauczycielskiej.

Sejm uchwalać 3-letni cykl wdrożenia postanowień Karty (przypominajmy, że były to zawieszane terminy dłuższe) uczynił założeń licznym postulatami ogółu nauczycieli.



TYGODNIK
ODZNACZONY
ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Walentyna Zapłaska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Zdzisław Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rogalska (kierownik działu), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Halina Skymczak, Janusz Trzciński, Henryka Witalewska (kierownik działu), Jan Roch (redaktor graficzny), Kierownik administracyjny — Aniela Pawlik, korekta — Irena Kościelna, Joanna Paprzycka. Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 26-340 Warszawa. Telefon: 26-10-11, 26-34-80, 27-55-30.

Druki Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86, 02-017 Warszawa. Z-51.



nane sanitariaty oraz łazienki z wannami i natryskami po dwa na każdej kondygnacji (o), żyło się, żyło panu „ambasadorowi”).

W wyłożonej drewnianą boazerią piwnicy urządzona została szatnia. Trochę tu ciasno, bo szafki na ubranka i buty zajmują wiele miejsca, ale jest to jednak jedyna sala, jaką można było przeznaczyć na ten cel. Zbyt mała jak na potrzeby przedszkola, bo zaledwie dziesięciometrowa jest także kuchnia. Dlatego na miejscu można przygotować tylko śniadania i podwieczorki. Obiady natomiast dowożone są w termosach ze stołówki szkolnej. Komplikuje to nieco rozkład dnia przedszkolaków, gdyż z powodu nieregularnej pory obiadowej nierzadko skracany jest czas na leżakowanie. Poza tym trzeba wiedzieć, że jadłospis trzy- i czterolatków powinien być inaczej układany niż uczniów, nie mówiąc już o tym, że posiłek spożywany bezpośrednio po przygotowaniu jest smaczniejszy i bardziej wartościowy.

Willa, zbudowana niedawno, pachnąca jeszcze świeżością i czystością, prawdopodobnie długo jeszcze nie będzie potrzebowała żadnych zabiegów remontowych. W celu adaptacji na potrzeby przedszkola też w zasadzie nie była konieczna modernizacja. Usunięte zostały tylko dywany, obrazy i meble, te ostatnie zastąpiono dziecięcymi mebelkami. W niektórych przypadkach zrezygnowano z bocznego oświetlenia na rzecz dających jasne światło lamp sufitowych. Może nie bardzo komponują one ze stylowym, bogato rzeźbionym żyrandolem zdobiącym hall i schody, ale z uwagi na finansowe możliwości nowych lokatorów na nic innego nie można było sobie pozwolić. Z myślą o bezpieczeństwie dzieci w najbliższych dniach na barierki przy schodach, balustradę balkonową, drzwi i



PRZEDSZKOLE W WILLI AMBASADORA



Z prawdziwą radością przyjęła mokatowska oświata decyzję o przekazaniu na przedszkole willi byłego ambasadora PRL — Zdzisława Rurarza. Lokalizacja tego obiektu jest o tyle cenna, że usytuowany jest on nie tylko w uroczej, zacisznej części miasta, ale i w bliskim sąsiedztwie dużego osiedla Służew nad Dolinką. Potrzeby stworzenia tu placówki przedszkolnej były tak wielkie, że nie bacząc na ostatni dzień starego roku i dwa kolejne święta, szybko zebrano kadrę pedagogiczną i przeprowadzono rekrutację. Po pracowicie spędzonych dniach i nocach, już w poniedziałek 4 stycznia br. przedszkole przy ulicy Wernyhory rozbrzmiewało dziecięcym gwarem, a w kilka dni później odbyła się pierwsza prawdziwa zabawa noworoczna z choinką, Miłkołajem i paczkami od dzieci z innych krajów.

Jednopiętrowa, stylizowana na ludowo i kameralnie zaprojektowana, willa może pomieścić pięćdziesięcioro dzieci, praktycznie dwa oddziały. Pięciolatki otrzymały pomieszczenia na górze, a młodszą grupę zajęła parter. Mimo nietypowej architektury wnętrza, udało się w sposób funkcjonalny urządzić wygodne sale dla dzieci. W amfiladzie, dzięki dwupoziomowości podłogi, uzyskano oddzielne jakby sale do zabawy, spożywania posiłków i spania. Młodszą grupę ma ponadto osobną sypialnię. Stwarza to bardzo dobre warunki higieniczne, dzieci bowiem nie muszą przebywać przez kilka godzin w tych samych salach, można też sobie pozwolić na prawidłowe wietrzenie bez obawy, że maluchy się przeziębią. Doskonałe warunki higieniczne zapewniają też efektownie wyko-

